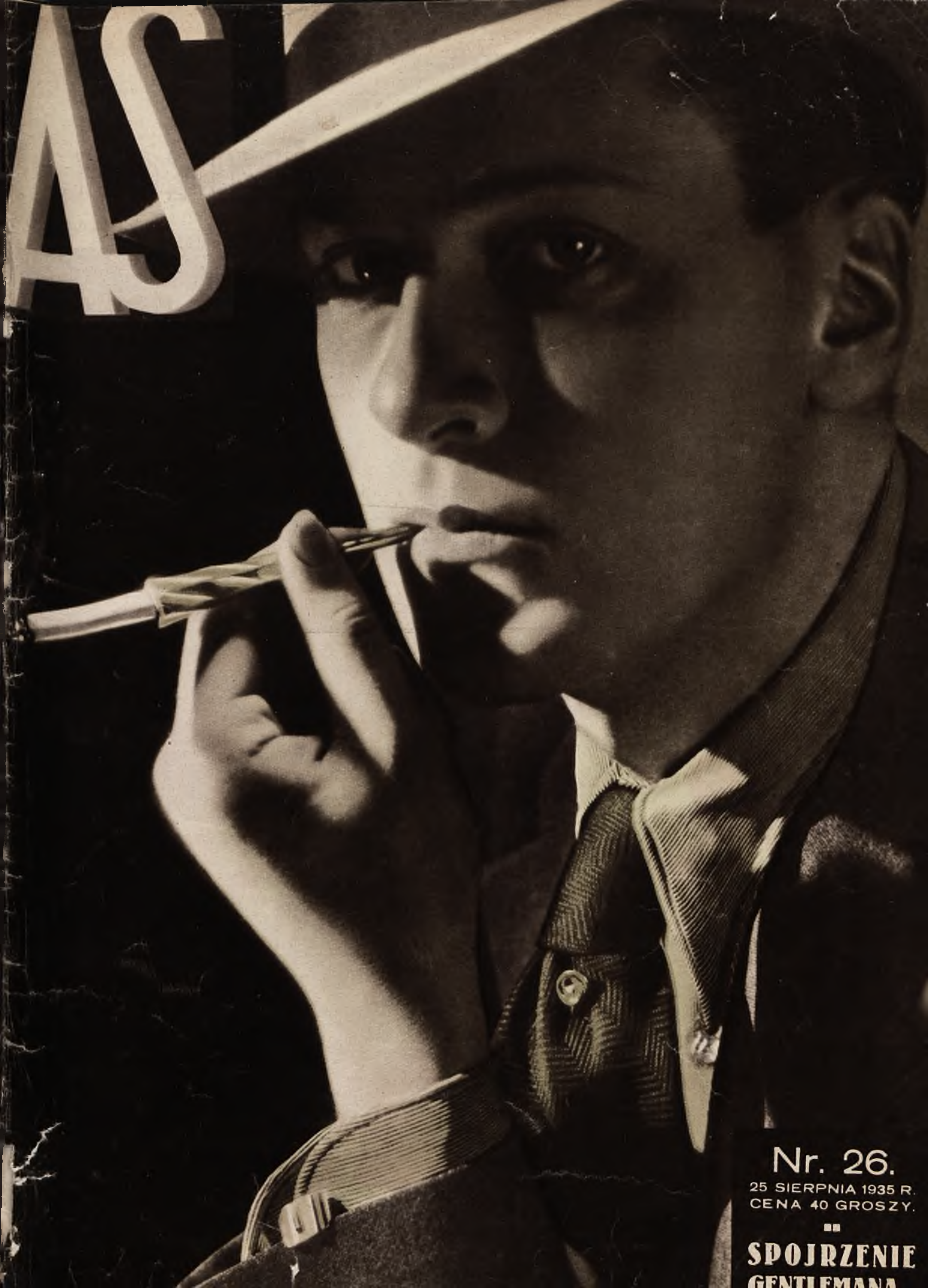

AS
Nr. 26.
25 SIERPNIA 1935 R.
CENA 40 GROSZY.
SPOJRZENIE
GENTLEMANA

NASZ WIELKI KONKURS

NA

NAJPIĘKNIEJSZY UŚMIECH.

Jak już wspomnieliśmy w poprzednich numerach naszego Magazynu, konkurs na „Najpiękniejszy uśmiech“ stwarza wiele możliwości przedewszystkiem dla tych wszystkich uczestników, którzy odznaczają się nie tyle pięknem, ile fotogenicznością rysów swej twarzy. W uśmiechu człowieka o przeciętnej nawet urodzie występują wówczas cechy niezwykle dodatnie, które z układu ust, charakteru nosa, błysku oczu, ruchu brwi i t. d. i t. d. stwarzają harmonijną całość, często wprost fascynującą oglądającego daną fotografję.

Piszemy o tem dlatego, aby zwrócić uwagę tych wszystkich, którzy może pragnęliby wziąć udział w naszym wielkim konkursie, jednak nie mają odwagi, — na istotę pięknego uśmiechu, tkwiącą nie tyle w pięknie, ile w silnej indywidualności danej twarzy. Wystarczy przypomnieć sobie takie sytuacje, w których podziwialiśmy piękną kobietę na fotografji, doznając potem rozczarowania przy oglądaniu tej samej osoby „w naturze“ — fakt, który zresztą często występuje, jeśli chodzi o aktorki i aktorów filmowych. Nie możemy go sobie inaczej wytłumaczyć, jak tylko właśnie ową fotogenicznością. — Kupon dla głosujących znajdą Czytelnicy na str. 26.







Powyżej: G. K. — Poznań.

Na lewo: „Pani w lisie“ — Kraków.





Powyżej: „Jana Z.“ — Zakopane.

Na lewo: „K. L.“ — Katowice.

Powyżej: „P. R.“ — Poznań.
Na lewo: „Z. M.“ — Dziedzice.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ.
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600. Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 26 **Niedziela 25 sierpnia 1935** **Rok I**

ASY NUMERU 26-GO:

Wielkie uroczystości, związane z wejściem pierwszych kolonistów amerykańskich do Kalifornji, odbędą się w Santa Monica pod przewodnictwem młodziutkiej miss Doroty Reese, która pochodzi z rodziny jednego z pierwszych pionierów południowych Stanów A. P. — Na zdjęciu: Miss Reese, niebieskooka blondynka, w malowniczym stroju cowboyskim na wozie swego wielkiego przodka.

JAK POWSTAWAŁY PRZYSŁOWIA?

Każda niemal epoka dziejów naszych dorzuca do skarbca rodzimej kultury nowe przysłowia, które aktualne zdarzenie rodzi. Zwykle giną one wraz z pokoleniem, które ich powstanie i znaczenie rozumiało.

Czasem jednak, gdy albo wypadek, który im dał początek był ważny, ogół obchodzący, albo szczególna trafność, piękno, czy dowcip powiedzeń, podawane są z ust do ust synom i wnukom, lub utrwalane w popularnych utworach literatury — przysłowia wówczas zachowują długo swój barwny żywot, mając pełne znaczenie i aktualność nawet w dniu dzisiejszym.

Do tych należy nietylko sprzed 150 laty powiedzenie króla Stanisława Augusta, dziękującego nieutalentowanemu poecie za wiersze na atłasie: „Szkoda czasu i atłasu", ale i jedno z najstarszych przysłów: „Sprawię ja ci łaźnię", które pochodzi z czasów Bolesława Chrobrego, mającego zwyczaj karać młodzież szlachecką w łaźni stosownem napomnieniem.

„Przysłowia są — jak pięknie powiedział zasłużony badacz naszej kulturalnej i obyczajowej przeszłości Kaz. Wł. Wojcicki — jakby otwartą księgą w narodzie: W niej każde pokolenie zapisuje krótko i węzłowato najważniejsze wspomnienia czynu, naukę z doświadczenia, zdania odpowiednie oświacie i duchowi swego wieku. Wiek wiekowi też podawał w tych hieroglifach językowych swoje dzieje, otwierał własne serce i rozum... Wydzierać te wyrażenia z języka, jest to miód z ula wybrać, aby pusty świadczył, że były tu roje szemrzące, pracowite..".

Dobrze jest co jakiś czas, choć niektóre z przysłów wydobyć z zapomnienia, otrzepać z pyłu wieków, a podmalowawszy tłem obyczajowem, wyczytać z nich zdarzenie, które je zrodziło i żyć im przez pewien okres w języku narodu kazało.



Król Stanisław August Poniatowski. Portret malowany przez Lampi' ego znajdujący się w zbiorach wawelskich.

Przypomnijmy sobie kilka przysłów z czasów Zygmuntowskich. Wiele przysłów tej epoki odnosi się do tak popularnego żywiołu jak żacy. Straciły one bezpowrotnie swą aktualność spowodu zmiany żaka na studenta czy ucznia. Przysłowia te odtwarzają zarówno stanowisko społeczne żaków, ich usposobienie, warunki życia (naprzykład: „Cichy żak, kiedy bakałarza czuje", „Żak szkolny jak wilk głodny"), jak i swawole:

„Gorzej niźli raka obawiaj się żaka"; „Papieru do wody, pióra do ognia, żaka do żony nie przytykaj!" itd.

W XVI wieku popularne było przysłowie: „Pełna szkoła żaków", które oznaczało zupełne nasycenie żołądka. Jeden z rzadkich druków sowizdrzalskich tej epoki notuje anegdotę, że któraś z panien szlachcianek, chcąc na uczcie użyć tego przysłowia, gdy więcej pokarmów już spożyć nie mogła, przez omyłkę rzekła: „Mam pełen brzuch żaków".

Niejedno z przysłów z czasów króla Jana Sobieskiego przypomina błędy tego bohatera, który nie wykorzystał należycie świetnego zwycięstwa pod Wiedniem. Bezpośrednia bezużyteczność tej wyprawy, z której nasi wojownicy wracali „z kordem a boso" znalazła oddźwięk w aktualnym wówczas, dziś już historycznem przysłowiu: „To tyle warto, co bić się za Wiedeń". Niepomyślne cztery wyprawy tego króla na Wołoszczyznę



Kraków spoczątku XIX wieku według współczesnej akwareli. Barbakan połączony mostem z Bramą Florjańską, po lewej baszta Pasamoników, po prawej baszta Stolarska.



Rodzina króla Jana III. Sobieskiego. W owalu portret króla, królowa Marja Kazimiera, królewna Teresa Kunegunda i trzech królewiczów Jakób, Aleksander i Konstanty.



„Zemsta" Fredry kończy się przysłowiem „Zgoda, zgoda, a Bóg wtedy rękę poda". Scena z teatru Jaracza (Ateneum w Warszawie), na pierwszym planie Jaracz (Rejent), Z. Chmielewski (Cześnik).

celem jej zhołdowania również zrodziły smutne przysłowie: „Zarobił jak król Jan na Wołoszczyźnie".

Sto lat temu bardzo popularne było w Krakowie przysłowie: „Jechać do Wikla". Genezę tego powiedzenia dziś zupełnie nieznanego podaje Ambroży Grabowski w swych „Wspomnieniach". Jeden z mieszkańców Krakowa, który słynął z gościnności, zwłaszcza w dniu imienin, gdy go okoliczności życiowe do spokojniejszego i skromniejszego życia zmusiły, postanowił unikać gości. Nadszedł dzień jego imienin, zamknął się w mieszkaniu a służbie polecił opowiadać, że wyjechał na wieś. Wyszedł jednak potem na przechadzkę i ktoś go spostrzegł, jak się w gęstych zaroślach wiklinowych przechadzał. Stąd kiedy kogoś później w dniu imienin goście, przybywający z życzeniami w domu nie zastali, opowiadali po mieście, że „wyjechał do Wikla".

Współczesne temu było przysłowie: „Brudnyś jak spódniczka pani Badeni", wyszydzające zaniedbanie się i dziwactwa małżonki Marcina Badeniego, ministra sprawiedliwości w Księstwie Warszawskiem. Pani ta z domu Wawrzecka w młodym wieku bardzo piękna, elegancka i dystyngowana, osoba majętna, właścicielka dóbr ziemskich Pocieszki, mimo późniejszych swych dziwactw zapraszana była na przyjęcia „śmietanki krakowskiej".

Raz na zebraniu towarzyskiem u hr. Stanisława Wodzickiego, prezesa senatu Rzeczypospolitej Krakowskiej zasiadła do wista. W czasie gry, gdy pchła jej zaczęła dokuczać, podniosła suknię, a złapawszy małe stworzenie bez żenady na zielonym stoliku pozbawiła je życia. W czasie innego przyjęcia w tym samym arystokratycznym domu, kiedy gorąco jej się zrobiło, udała się do sypialni pani Wodzickiej i tam niezauważona przez nikogo zdjęła brudną spodnią flanelową bieliznę i tę schowała pod poduszkę pani domu. Po rozejściu się gości prezesowa Wodzicka, kładąc się na spoczynek zauważyła brudne szmaty; służba miała porządną awanturę, że nie pilnuje gości. Brudy wyrzucono na śmietnik, a tymczasem nazajutrz zjawił się lokaj pani Badeni z prośbą o wydanie bielizny, którą jego pani w łóżku sypialnem schowała.

Jeszcze jeden szczegół doskonale świadczy o zamiłowaniu tej damy do brudu i niezwykłego skąpstwa. Gdy wyjeżdżała z Krakowa brudnym powozem do swego majątku i gdy równocześnie furmanką wywoziła ze swej posesji przy ul. Stolarskiej śmieci i nawóz, chcąc oszczędzić kilka groszy na opłacie myta rogatkowego (płaciło się od zaprzęgu), kazała powóz doczepić do wozu niemile woniejącego i tak opuszczała miasto.

Kilka przysłów odgrzebaliśmy z zapomnienia, a ileż one nam zaraz przypomniały radosnych i smutnych chwil historycznych, jakąż ciekawą i bujną przeszłość obyczajową i kulturalną odmalowały.

Czy dziś powstają przysłowia?

Prof. Bystroń, autor bardzo ciekawej, na naukowych dokumentach opartej książki o przysłowiach polskich, twierdzi, że dziś niema już warunków do powstawania przysłów, że inne warunki życia, szybsze tempo, rozluźnienie wspólnoty, zróżniczkowanie zajęć itp. nie pozwalają na rodzenie się przysłów. Zdaniem prof. Bystronia przysłowia zanikły z tych samych powodów, z jakich zanikły typy oryginałów, mających swoje ulubione nawyki, przypowiastki i porzekadła. Boy-Żeleński podjął walkę z tym sądem naukowca, przyznając mu słuszność jedynie w tem, że rzeczywiście zanikają oryginalni osobnicy, wtrącający w swe przemówienia i rozmowy różne słóweczka, jak „paniedzieju" itp. Powodem tego większa kontrola nad samym sobą, większa schludność umysłowa. Dowcipnie mówi Boy, że „trudno sobie wyobrazić Janusza Radziwiłła, powtarzającego co dwa słowa, jak jego praszczur: „panie kochanku". Niktby tego nie wytrzymał, wylaliby go z B. B.".

Przysłowia jednak i dziś istnieją. Powiedzonka wzięte ze znanych przebojów rewjowych: „Jak się niema co się lubi, to się lubi co się ma", „Och, pardą, paszoł wą" — spełniają dziś funkcje dawnych przysłów. Nie są onesamorodne, ale nadawane są w życie ze sceny. Żywot ich krótki, tak krótki, jak i popularna piosenka, którą często po kilku tygodniach zastępuje nowa.

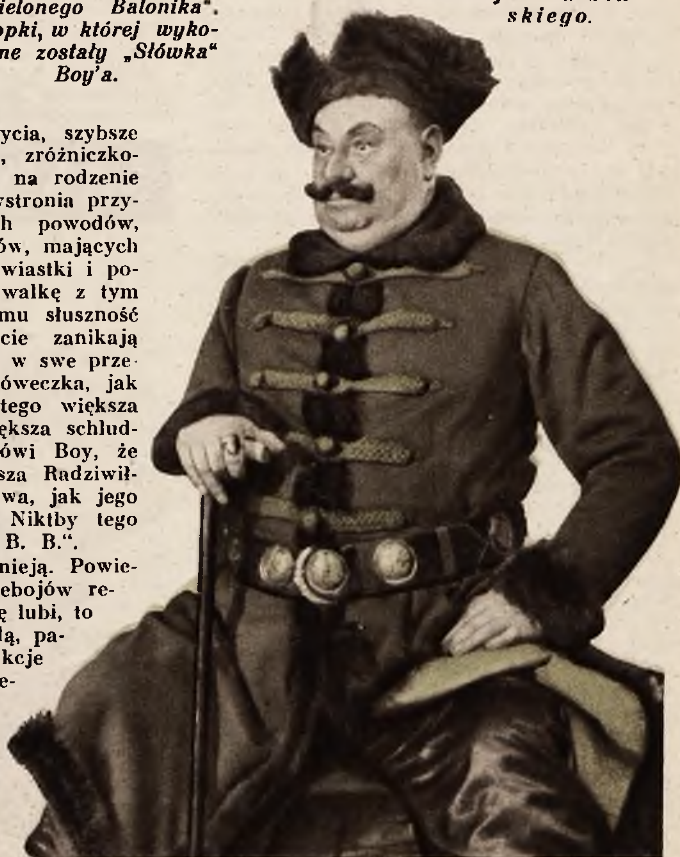
Dziś jeszcze rodzą się bardzo często przysłowia przy stolikach karcianych. Bardzo dużo jest całych zwrotów i zdań, zaczerpniętych z literatury, ze sceny, które nieustannie wchodzą w życie, powtarzane są w różnych okolicznościach przedewszystkiem przez inteligencję i tworzą nowy współczesny dział przysłów — przysłowia inteligenckie.

Do tych należeć będą także 'przysłowia ze „Słówek" Boy'a, które obchodzą dziś jubileusz 30-lecia („Każdy wrzeszczał o czem innem, jak zwykle w życiu rodzinnem", „Paraliż postępowy najzacniejsze trafia głowy", „Moja pani, moja pani..." itd.) oraz sporo zdań z „Wesela" Wyspiańskiego, które dziś nabrały znaczenia przysłów; wielu nawet, powtarzając: „Ubrałem się w com tam miał", albo „Człek człekowi nie dorówna", nie wie, że te dzisiejsze przysłowia przypadkowo zrodziła poezja wielkiego genjusza.

Z tego krótkiego przeglądu widzimy, że dawne czasy sprzyjały więcej tworzeniu się przysłów — które, jak Pallas Athene z głowy Jowisza, wyskakiwały niespodzianie z podochoconych czupryn oryginałów i gawędziarzy. Były to czasy inne — czasy „mlekiem dowcipu i miodem kwietnych a zręcznych słówek płynące", w których indywidualność poszczególnego człowieka miała większą sposobność przejawienia się — nie była bowiem skazaną na to szalone tempo życia, obserwowane dzisiaj. Miało się wtedy więcej może czasu na myślenie, niż dziś na czyny. I kto wie, czy dlatego właśnie epoka ta nie była o wiele więcej interesującą, niż dzisiejsze czasy walki o prozaiczny kawałek chleba na wszystkich frontach ludzkiej działalności. **(s. w. bal.)**



Wnętrze Jamy Michalika w Krakowie: symbol „Zielonego Balonika", szopki, w której wykonane zostały „Słówka" Boy'a.



Znakomity Mieczysław Frenkiel, jako Radziwiłł „Panie Kochanku" w komedji Kraszewskiego.

CIEKAWE ★ DROBIAZGI.

O miłości wyczarowanej djamentem.

Od dawien dawna ludzie przypisywali najrozmaitsze zjawiska przyrody, osobiste przeżycia, a przedewszystkiem niepowodzenia i choroby siłom nadprzyrodzonym. Skłonność człowieka do szukania jakiegoś autorytetu, czy też opieki nadprzyrodzonej sprowadziła wiarę, że przed wszystkiemi klęskami i osobistemi niepowodzeniami może ciemnego i słabego człowieka ochronić jakiś drobny przedmiot, posiadający specjalne, boskie własności. W tym celu od niepamiętnych czasów nosili i używali ludzie (zarówno przedstawiciele społeczeństw kulturalnych, jak i ludów pierwotnych) breloki, t. zw. talizmany.

Tysiące znanych talizmanów wszystkich ludów świata można podzielić na grupy talizmanów metalicznych, mineralnych, roślinnych czy zwierzęcych. — Bardzo wiele talizmanów sporządzonych jest z miedzi, srebra i złota. Miedź była w dawnych wiekach poświęcona bogini Wenerze, a talizmanom, sporządzonym z tego metalu, przypisywano moc czarodziejską w miłości. — Starożytni Germanie czcili miedź jak bóstwo i przypisywali jej wiele właściwości w związku z władaniem ogniem. W epoce bronzowej sporządzano większą część przedmiotów codziennego użytku ze stopu miedzi i cyny. W późniejszych wiekach ludzie, którzy znajdowali te przedmioty podczas robót ziemnych, nie umiejąc sobie wytłumaczyć ich pochodzenia, zamieniali je na amulety w przekonaniu, że są śladami pobytu bogów na ziemi.

Alchemicy średniowiecza sporządzali wiele amuletów także ze srebra. Uważali oni, że metal ten składa się ze stwardniałych promieni księżycowych. Srebro w przeciwieństwie do miedzi miało koić żądze, łagodzić ból, leczyć duszę. Ołów, podobnie jak srebro miał przynosić spokój, zimną krew, a także przebiegłość.

Najdroższy i najrzadszy metal — złoto — miał być zastygłem promieniem słonecznem. Świątynie, posągi bóstw i ołtarze wykładano złotem. Za dawnych czasów z tego najszlachetniejszego kruszcu sporządzano talizmany, które miały przynosić zdrowie, odwagę, zaszczyty. Człowiekowi, który nosił złoty talizman i który dzięki niemu doznawał specjalnych dóbr, groziły złe duchy. — Dlatego też stare legendy opowiadają o nieszczęściach, które spotkały ludzi, posiadających wielkie skarby.

Ponieważ ważną rolę odgrywała także forma amuletu — powstała przeto niezwykle skomplikowana wiedza o tem, z jakiego metalu i w jakiej formie należy nosić amulet, aby zapobiec „czemuś" lub by „coś" osiągnąć.

Szczególnie ceniono w dawnych czasach magnesy lub magnetyczne kawałki żelaza, z którego sporządzano przedmioty, mające ponoć właściwości lecznicze. I tak magnesy miały leczyć podagrę, reumatyzm, miały usuwać paraliż. Rycerze dawnych czasów nosili zbroje z żelaza magnetycznego, które chroniły ich od pocisków nieprzyjacielskich. Podobne moce przypisywano bursztynom. Pewne związki siarki z wapniem, które wydzielały w ciemności światło, tak zwane w starożytności „lśniące kamienie" miały przynosić szczęście. — Wallenstein, wódz wojny 30-letniej, nosił przy sobie taki kamień i starał się przewidzieć bieg swej fortuny w jego słabszym lub mocniejszym blasku.

Pośród drogich kamieni najsilniejszy wpływ w dziedzinie magji miłosnej miał posiadać diament. Magowie twierdzili, że wywiera on gwałtowny wpływ na życie umysłowe kobiety i „wzburza jej krew"

Pomimo, że średniowiecze minęło i czarna magja w dzisiejszych, zmaterjalizowanych czasach nie odgrywa żadnej roli, brylanty nie straciły swojej mocy. Potrafią one jak dawniej „wzburzyć krew kobiecie" i skłonić ją do miłosnych wynurzeń. Moc tę posiadają i inne drogocenne przedmioty, które mężczyzna ofiarowuje kobiecie.

Oto kilka danych odnośnie do dwóch grup amuletów, używanych przed wiekami. Oprócz amuletów z minerałów i metalu istniała jeszcze cała masa innych, które miały przeciwdziałać wszystkim nieszczęściom lub je sprowadzać. *(jot).*

KINO DLA SAMOCHODÓW.



Najdziwniejszem kinem na świecie jest bezwątpienia amerykański „Drive In Theatre". Kino to nie posiada widowni pod dachem, ani foteli, czy lóż. Jest ono zainstalowane pod gołem niebem na olbrzymim placu, który może w kilkunastu oznaczonych białemi linjami szeregach pomieścić 400 samochodów. Widzowie, siedząc w fotelach swych aut, mogą obserwować akcję filmu, toczącą się na olbrzymim ekranie.

„Kino dla aut" kosztowało 40 tysięcy dolarów i posiada największy na świecie ekran oraz aparaturę dźwiękową.

„Drive In Theatre" ma olbrzymie powodzenie i ściąga co wieczór całe rzesze widzów, którzy wjeżdżają na „salę" w swych samochodach.

Reklama i programy tego kina podają 12 powodów, dla których wszyscy posiadacze samochodów powinni uczęszczać do „Drive In Theatre'u". Oto one: 1) ani na chwilę nie pozostawiacie auta bez opieki, 2) nie potrzebujecie ubierać się w wieczorowe stroje, 3) nie przeszkadzają wam spóźniający się na przedstawienie, 4) podczas niepogody zasuwacie szyby samochodu i w dalszym ciągu słyszycie i widzicie doskonale, 5) nie macie trudności ani kosztów przy parkowaniu waszych samochodów, 6) zabieracie ze sobą dzieci; gdy są senne mogą spać w samochodzie, 7) możecie zabrać ze sobą ulubione psy i koty, 8) możecie palić, 9) możecie regulować wentylację według upodobania, 10) gdy rozmawiacie, nie przeszkadza to sąsiadom, 11) uważna służba czeka na każde skinienie, aby was obsłużyć, 12) opuszczacie kino kiedy chcecie.

Bilet na przedstawienie kosztuje 35 cnt. Dzieci płacą 10 cnt. Opłat od samochodów nie pobiera się. *M. B.*

SANIE GŁĘBINOWE DLA NURKÓW.



Wszyscy pamiętamy jeszcze dobrze o sukcesach naukowych, osiągniętych przez Amerykanina Beebego przy badaniu dna morskiego zapomocą specjalnie przez niego zbudowanej łodzi podwodnej. Do niedawna nikt nie przypuszczał, że możliwe jest zanurzenie się pod wodę na taką głębokość. Ale technika dzsiejsza także tę trudność pokonała. W tym wypadku idzie naprawdę o rzecz bardzo ciekawą. Jak bajka brzmią opowiadania dra Beebego o faunie i florze głębin oceanu. Obecnie zbudowano rodzaj sań podmorskich, w których nurek w swoim kostjumie może w stosunkowo szybkim czasie zbadać znaczny teren dna morskiego. Do niedawna wskutek wielkiego ciężaru ubioru nurka, mógł on poruszać się pod wodą, tylko bardzo powoli i nezgrabne. Nowe sanie podmorskie ciągnie zapomocą łańcuchów statek, płynący po powierzhni morza. Nurek, który dotychcas poruszał się pod morzem z powolnością ślimaka, będzie mógł odbywać szybką przejażdżkę po dnie morskiem. Ułatwi to znakomicie ratunek zatopionych okrętów i zbadanie terenu podmorskiego. Jakaż to ponadto perspektywa dla tych, którzy są spragnieni romantycznych wrażeń. Taka przejażdżka po dnie morskiem musi być naprawdę emocjonująca. *Inż. A.*



Obelisk i fontanna na placu „de la Concorde" w Paryżu.

WIELKIE MIASTA BRONIĄ SIĘ PRZED NUDĄ SZABLONU...

Rozrastające się coraz bardziej stolice europejskie i wielkie miasta chorują na wspólną chorobę — nużącą jednostajność. Jeszcze centrum bywa bogatsze perspektywicznie w obszerniejsze place, parki, w gmachy o indywidualnym wyglądzie, lecz ulice dalsze, to tragiczna jednolitość.

Długie, kilometrowe szeregi jakby na rozkaz ustawionych domów, zlewających się z sobą pod względem barwy, wysokości — to jakby koszary dla niezliczonej armji szarej masy ludzkiej. A wiadomo, że koszary — to chyba najbanalniejsza architektonicznie budowla. Jakże się to musi odbijać na psychice mieszkańców, którzy muszą wieść żywot w takiej tragicznej szarzyźnie. Patrzymy na dalekie średniowiecze z pewną wyższością, ale niesłusznie. Ich miasta były pełne wyrazu, a choć nieraz duszono się w wąskich uliczkach, zamkniętych potężnemi murami, to jednak w obrębie miasta ileż było ciekawych elementów. Każdy dom miał indywidualny wyraz artystyczny! To wyrażało się również w strojach i charakterach ludzkich. Życie było bujniejsze, mniej było tragedyj. A dzisiaj szara kamienica przy szarej ulicy, szary, codzienny strój muszą zabójczo działać na psychikę, muszą stłumić każdy poryw, zszeregować i ujednostajnić wszystko i wszystkich. Ileż dzisiaj zabójstw, których podłożem brak chęci do życia. Nuda wieje od tych szarych domów a nuda — to najstraszniejsza choroba, która przychodzi powoli, osacza duszę w sidła i już nie wypuszcza.

Nie znaczy to jednak, by miasta współczesne nie broniły się przed jednolitością i szarością, robią to jednak w drobnej tylko cząstce. Pomijam nowe pomysły miast przyszłości, które będą wyglądały, czy już powoli realizują się w formie bardziej żywej, ciekawej. Weźmy jednak dzisiejszy stan wielkich miast. Ideałem jest bezwzględnie Paryż, który zdołał prawie że opanować sytuację, oświetlając bogato miasto. Wogóle miasta stały się dziś o wiele piękniejsze w nocy, niż w dzień, a to dzięki światłu neonowemu i pomysłowym efektom świetlnym przy wodotryskach i pomnikach. Paryż doszedł tu do doskonałości. Specjalnie wiele zrobił po doświadczeniach wystawy kolonjalnej, gdzie, jak wiadomo, samo zużycie światła kosztowało setki tysięcy franków. Rzucano zdołu potężne słupy światła i uzyskiwano bajeczne efekty. Jeszcze piękniejsze zdobycze przyniosło zabarwienie kolorowem światłem tryskającej wody z wodotrysków, kaskad i wodospadów. Wszystkie te efekty zastosował Paryż na terenie miasta i zyskał sobie przydomek „miasta świateł", należałoby dodać — „kolorowych". Natomiast kolorowa reklama świetlna, owe setki neonowych napisów, nagle pojawiających się i znikających, to wątpliwej wartości ozdoby, które tylko nużą. Jeszcze zastosowane w małej ilości, jak to bywa po mniejszych miastach i przy zachowaniu pewnej ogólnej całości estetycznej, dają pewne rezultaty, natomiast przeładowana, jak to ma miejsce po większych miastach, razi oko, choć może je bawić swą pomysłowością. W Paryżu np. na niektórych gmachach rozgrywają się całe sceny przy pomocy dowcipnie urządzonych świateł, ale w rezultacie traci na tem wygląd estetyczny ulicy. W dzień najpiękniejszą ozdobą miast była, jest i będzie zieleń. I dlatego z taką pieczołowitością miasta troszczą się o swe parki i ogrody. Ale znowu tu nasuwa się uwaga, że zbytnio wystrzyżony, wygolony park robi wrażenie zbyt lalkowate i zlewa się właściwie z jednostajnością ulicy. Im szersza ulica, tem więcej na niej można zmieścić drzew, tem bardziej one ją umilają, przykrywając jednolitość perspektyw. Kwietne balkony, ściany spowite w bluszcz i winograd nadają wyraz nawet najbrzydszej ulicy, ale jakże są rzadkie w naszej smutnej rzeczywistości! Nie można sobie wyobrazić wielkiego miasta bez pomnika, rzeźby, obeliska, figury dekoracyjnej etc. Te publiczne wystawy rzeźb nietylko mówią o historji przeszłości ale ożywiają place. Olbrzymiemi pomnikami chlubi się Wiedeń. Odgrywają się tam całe sceny z historji, a bohaterzy mają nieraz wymiary kilkumetrowe. Paryż znowu jest usiany olbrzymią ilością figlarnych niejednokrotnie scen z życia fantastycznego. Najmilej jednak wyglądają te małe pomniki na mniejszych placach, obsiadywane przez roje gołębi. Wprawdzie ptactwo niszczy rzeźby, ale jakżeż ożywia swą ruchliwością i żywotnością takie zapomniane rzeźby. Stada gołębi, fruwające po rękach i barkach Franciszka Gundulića w Dubrowniku, dziwnie ożywiają ten mały, ale jakże zwłaszcza dla Polaka miły pomnik, z powodu umieszczonych na nim scen z historji polskiej.

Całe południe odznacza się tem, że okna domów opatrzone są drewnianemi okiennicami, pomalowanemi na różne kolory, co znowu daje miłe ogromnie urozmaicenie ulic i ich szarości.

Ale jednostajności nie można przeciwstawić pstrokaciznę, która niejednokrotnie stara się zająć miejsce tamtej. I znowu zauważyć można dążność miast do usunięcia tych najróżnorodniejszych, coraz krzykliwszych szyldów i wywieszek, a zastąpienia ich nowoczesnemi literami, lub światłem neonowem, do usunięcia z wystaw wszelkiej rupieciarni. W Poznaniu np. daje się zauważyć skromność szyldów i gustowność, wyrażająca się również w używaniu reklamy świetlnej.

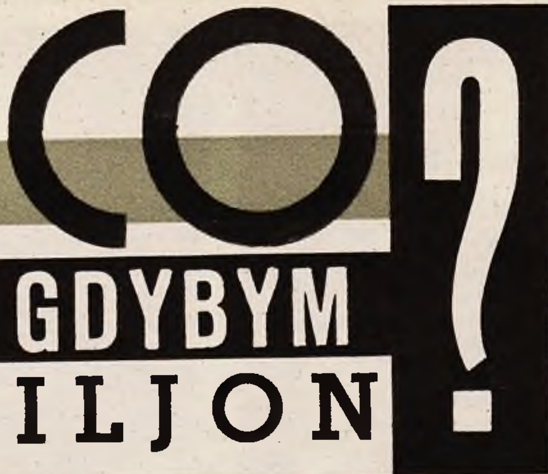
Myśli się dziś poważnie o dalszem ożywieniu jednostajności miast. Artyści paryscy wystąpili niedawno z projektem, by przy każdej nazwie ulicy wymalować jej graficzny symbol. Byłaby to pierwsza próba ożywienia domów malowidłami. Pierwszą próba w czasach nowszych, gdyż dawniej mnóstwo domów upiększano polichromją. Zapewne jest jeszcze wiele innych sposobów ożywienia szarości wielkomiejskich ulic i uprzyjemnienia życia ludziom.

Dr. Stanisław Peters.



Jedna z tysiącznych, banalnych ulic wielkomiejskich.

NASZA DRUGA ANKIETA



CO BYM ZROBIŁA GDYBYM MIAŁA MILJON?

Loda Halama.

To nazwisko, znane już dziś nietylko u nas w kraju, ale daleko poza jego granicami, zobaczyłem przed laty po raz pierwszy na afiszu teatru „Morskie Oko" w Warszawie, w całej plejadzie gwiazd wielkiej stołecznej rewji, której program równał się wówczas nawiększej sensacji jesiennego sezonu.

Loda Halama była na ustach wszystkich... Jej kreacja w obrazie „Kobieta i Bestja" stanowiła ów wabik, który w podwoje imprezy Andrzeja Własta ściągał dawno niewidziane tłumy publiczności. W finale pierwszej części tego programu szedł przebój mojej kompozycji p. t. „Pocałuj mnie Cheri", który z wrodzonym sobie wdziękiem śpiewała Karlińska. Nic więc dziwnego, że znalazłem się na premjerze w pierwszych rzędach foteli i z zainteresowaniem śledziłem przebieg przedstawienia. W pewnej chwili, gdy orkiestra rozpoczęła właśnie jakiegoś wspaniałego slov-foxa, naturalnie made in U. S. A., którego wielce oryginalna rytmika, bajeczne harmonje i przejmująca melodja musiały chyba każdego z obecnych nastroić na najwyższy kamerton słuchowych wrażeń — rozpoczęła się prawdziwa wzrokowa biesiada. Oto na scenie, która z pod zasłon uciekającej w górę kotary ukazała się mym oczom, siedział olbrzymich rozmiarów wypchany goryl, zajmujący swem cielskiem całą przestrzeń od posadzki aż po górne kulisy. Ukryty mechanizm wprawiał w ruch jego złowrogo błyskające ślepia i co chwilę otwierającą się potworną paszczę, z której wyzierały niesamowite kły. Na sierści nóg potwora, przysłonięta początkowo jego łapami, leżała... naga kobieta, a ciało jej, o przecudnych kształtach, okrywały niczem płaszczem jej kruczo-czarne włosy. Melodja ilustracji muzycznej, dotąd oparta na dramatycznych akcentach, przeszła nagle w pieśń pełną żaru namiętności i oddania... Pod jej wpływem rozwarły się potężne ramiona goryla, a kobieta, jakby ze snu przebudzona, leniwym ruchem podniosła się z tego niesamowitego posłania i rozpoczęła taniec, który pod względem ekspresji nie miał sobie równego w żadnej innej rewji warszawskiej. Nic więc dziwnego, że publiczność zafascynowana niezwykłym artyzmem tancerki, żegnała ją niemilknącemi brawami. — To była właśnie Loda Halama. Dziś odbywa ona razem ze znakomitym śpiewakiem Jerzym Czaplickim tourne po miastach prowincjonalnych, opromieniona sławą zeszłorocznych triumfów w Japonji. Na wieczorze w Krakowie mogłem ocenić, jak bardzo dojrzał jej talent — jak nabrał nowych form, które w przeciwstawieniu do dawnych akrobatycznych upodobań artystki jaśnieją obecnie najwyższym poziomem tanecznej plastyki. W odbytej ze mną rozmowie skarżyła się Loda Halama na swą ostatnią ciężką chorobę — jakąś paskudną grypę, po której musiała solidnie wypocząć w Zaleszczykach. Po ukończeniu obecnego tourne, a więc mniejwięcej od 1-ego września rozpocznie ona nakręcanie filmu w Warszawie, w którym grać będzie ulubienicę pułku. Za partnerów dano jej Junoszę Stępowskiego i Żabczyńskiego. Już w październiku artystka wyjeżdża razem z Jerzym Czaplickim na dłuższe tournee po Palestynie, Egipcie i Syrji, poczem wraca znowu do kraju.

Na pytanie, coby zrobiła, gdyby miała miljon, dała następującą odpowiedź:

— Zapewne myśli pan, że stworzyłabym sobie nowy raj na ziemi... Otóż takby nie było. Musi pan wiedzieć, że bynajmniej nie zaliczam się do kobiet, które tęsknią za luksusem i myślą tylko o nowych sukniach, pięknych klejnotach, samochodach i willi na Riwierze. Gdybym nie była artystką, ograniczyłabym się do jednej skromnej sukienki — tak nienawidzę chodzenia do krawcowej lub modniarki. A zresztą zarabiam wcale dużo i to mi w zupełności wystarcza. Jeżeli więc zdarzyłoby się kiedyś, żeby taki „miljon" przyfrunął do mnie, natenczas nie wahałabym się ani chwili wprowadzić w czyn moje utopijne marzenia, t. j. stworzenie jaknajliczniejszych warsztatów pracy, któreby dały możność zarobkowania wszystkim pognębionym przez dzisiejszy straszny kryzys. Brzmi to może w moich ustach trochę dziwnie... A jednak taką już jestem...

Jerzy Czaplicki, któremu postawiłem to samo pytanie, odpowiedział na nie bez wahania:

— Za te pieniądze zreorganizowałbym teatr operowy, który już dawno na to czeka. W pierwszym rzędzie postarałbym się o zmodernizowanie libretta, naszpikowanego często potwornemi nonsensami i sprzecznościami z akcją sceniczną. Następnie dążyłbym do podniesienia strony reżyserskiej w naszej operze, która bardzo szwankuje i stworzyłbym odpowiednie warunki rozwoju dla wielu talentów śpiewaczych, żyjących dotąd u nas w ukryciu.

J. Ł.

Poniżej: Jedna z efektowych póz tanecznych świetnej artystki.
Fot. Dorys


Loda Halama.
Fot. N. Bil.


Niezwykle utalentowany artysta-śpiewak, Jerzy Czaplicki.

Cywilizacja



TADEUSZ ★ KUDLIŃSKI

NOWELA

Naprzykład kino.

Albo radjo. Wogóle.

Kupiłem sobie rower na balonoch za Pożyczkę Narodową. Co za samopoczucie!

A tu zupełny brak uświadomienia! Bo jakże? Żyje się przecież między ludźmi w środku, widzi się co i jak, wogóle. A taki chłop na wsi nic — kompletnie. Zacofanie. Morgi, gnój, krasula, naftowa lampa, wogóle pojęcia żadnego o cywilizacji i o czemś podobnem takiem.

A przecież rozum swój miał — stary. Ho — ho!

Na sześciu morgach siedział z trzema córkami. Cóż? Krasula, gnój, naftowa lampa — żadne dziwy dla miejskiego człowieka, jeżdżącego na rowerze, na balonach.

Jak córki zamąż wydawał, kalkulował sobie sprytnie stary: po chłopsku.

A nie jest się świnią — mój Boże i bez tegoby się obeszło — ale poco gadanie? Jakem do Maryśki mojej jeździł na tym rowerze i o ożenku mówię, stary drapie się w głowę, fajkę pociąga, spluwa i mówi — ha — żeń się, jeśli wola.

Potem oknem wyjrzał i powiada: ziemia dobra, wyżywi — inwentarz piękny, niema co — ładny kawałek ziemi. Ja tam nie wieczny. Maryśka beczy.

Mój Boże — obeszłoby się i bez tego — ale poco gadanie. No nic. Ożeniłem się.

Chodził potem do najmłodszej — Przywara. Słyszę ja, a stary znów oknem wyziera i powiada: cóż — ziemia dobra, inwentarz — niema co, ładny kawałek ziemi. Ja tam nie wieczny.

To mię trochę ubodło — ale sobie myślę: czekajmy. Ano ożenił się Przywara — i nic. Dom stoi jak stał, a o morgach ani słychu, o dzieleniu jakiemś, coś — nic. Nie ujrzał Przywara, ani ja — pocieszyłem się cokolwiek.

Ano nic. Zaczął dopiero do średniej Wasyliszyn chodzić. Człowiek inteligentny — policjant. Więc jak stary znów oknem wyjrzał i powiada: morgi są...., — tak Wasyliszyn dopiero powiada do starego: no, tak, ładne. Tak my do rejenta pójdźmy. Zapis zrobisz, jak się patrzy po prawie i po chrześcijańsku. Dożywocie zostawisz sobie ot i co. Pójdź stary. No i poszli do rejenta i Wasyliszyn siedzi dziś na morgach. No cóż — policjant, trudno.

Ale co tam, wyżyję i bez tych morgów. Ożeniłbym się i tak z Maryśką.

Podobała mi się.

Jakem ją do domu sprowadził, myślę sobie, trzeba kobietę cywilizować. A wsioska była dziewczyna. O niczem pojęcia.

Naprzykład kino albo radjo, wogóle, nic. Maryśka jest dorodna poprawdzie i niema się czego wstydzić — wogóle, ale w chustce na głowie chodzi, aż wstyd, nieprzyjemnie, poprostu.

W kinie mi usnęła, powiada potem, że nic z tego nie wie. Od radja mówi — uszy bolą, słuchawki niby gniotą, że woli kolendników.

— Kobieto — mówię — czyż nie rozumiesz: cywilizacja, miasto — wogóle. A ona nie. Że się jej nie podoba, że się obejdzie. No. Takie sprawy.

Mówię po ludzku, grzecznie: Maryśka, proszę cię, nie denerwuje mnie tem głupiem gadaniem, bo cię strzelę w ucho.

A ona nic.

Mówię: jak ty wyglądasz? Popatrz się, jak inne chodzą. Kupię ci kapelusz.

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo tak wolę. W chustce. Co mi tam. Ja niezwyczajna.

— Kobieto — mówię — cywilizacja, rozumiesz? Cy — wi — li — za — cja.

— No?

— Przecież nie można tak! Do kościoła idziemy. Każdy odziany przystojnie. Nie poznasz, z jakiego kto stanu, czy ze wsi, czy z miasta, czy od pociągła czy od urzędu. Rękawiczki, kapelusze, buty i lakiery świecące, wogóle. A ty w chustce na głowie. Włosy nie obcięte, precle splecione z tych warkoczy. Tyle.

Pięścią w łeb mi dała i śmieje się:

— Uchowam się i taka. A jak ci się nie podobam.

— No to co?

— No, nie bój się. Są tacy. —

— Maryśka!

— No, to nie wygłupiaj się i zostaw mię w spokoju.

Rozżaliła mię ta rozmowa, bo jak się widzi kobietę prostą — ot, już mię i rower na balonach przestał cieszyć. Człowiek ma w sobie to, żeby wspinać się wyżej; chciałby być czemś więcej, niż ojcowie, a tu ciemnota taka.

Myślę tak i myślę: cywilizacja, kino, radjo —

I nicem nie wymyślił.

Dopiero raz, tak niespodziewanie — zebrało mię na odwagę. Niespodziewanie. Myślę sobie, poczekaj: nie chcesz tu podobrawoli dobrodziejstw cywilizacji, chcesz po wsiosku dalej żyć, bez idei postępu w życiu szarego człowieka i obywatela, to ja cię przymuszę. Psiamać jedna, żeby człowieka przemocą ciągnąć trzeba do dobrego. Taki twardy i tępy ten wsioski naród, że no. —

Więcem sobie postanowił — niech się co chce dzieje. Nie zniosę tego wstydu dalej, żeby żona moja precle z warkoczy na głowie nosiła — (bo jakem w kinie na te kobiety z szerokiego świata spojrzał, to mi się płakać chciało).

I tak sobie chodzę, jakby nic i tylko sobie pomaleńku spekuluję, spekuluję — i wyspekulowałem.

Aż mię w ostatniej chwili strach obleciał, alem oczy zamknął i postanowiłem: nic, niech cierpi dla idei postępu wśród szarych mas.

Serce mi biło swoją drogą, dosyć mocno, ale sobie myślę: raz to stać się musi. A Maryśka ma twardy sen, jak wsioscy ludzie. Więc wstaję pocichu na ten dyżur nocny, zwijam się prędko. A Maryśka śpi, tylko przez nos śwista. Włosy długie rozrzucone na poduszce. I rozgniewałem się. Koniec — mówię sobie — koniec mojej hańbie i temu zacofaniu. Biorę pocichu nożyce — i niech będzie, co chce. —

Nie obudziła się.

Włosym wyrzucił i dopiero mnie teraz strach obleciał. Jak się obudzi — to już chyba po mnie.

Uciekłem pocichu.

Nie mogłem się uspokoić przy robocie, bo ciągle myślę, co to będzie, jak wrócę do domu. Aż mi włosy na głowie wstawały, bo Maryśka twarda sztuka.

Może ucieknie? Może zaczeka na mnie i co wtedy? Łeb mi rozwali albo się rozpłacze i ucieknie — psiamać, nie dobrze.

Jużem nie wiedział, co robić i chodziłem jak błędny. Może się przez tę cywilizację i postęp — małżeństwo popsuć nanic.

Wracam do domu, jak do kryminału.

Pod drzwiami stoję i słucham.

Aż mię sparło ze zdziwienia.

Śpiewa.

Śpiewa.

Otwieram drzwi.

Śmieje się.

Oczom nie wierzę. Włosy obcięte, *zaondulowane.*

No, no — mruczę. — Nie spodziewałem się.

— Myślałam, że mi serce pęknie, jakem się obudziła. Dopiero co — przecież kobiety zamężne na wsi obcinają włosy. Uspokoiłam się trochę. Dopiero mi sąsiadka mówi: idź pani do fryzjera, no i poszłam, no i —

— Maryśka — powiadam — idziemy poprostu kupić kapelusz, a potem do kina.

Westchnęła.

— No, to już chyba pójdziemy.

Cuda PAPIEROWEGO szkła

CH.

Niema dziś już prawie człowieka, któryby nie znał tego przepięknego, do żelatyny podobnego materjału, o przeźroczystości szkła kryształowego, ale zarazem jak papier elastycznego i giętkiego. To celofan — produkt wyrabiany obecnie w wielu krajach, często pod innemi jeszcze nazwami, posiadający obecnie właściwie jedną jedyną, ale najważniejszą wadę. Jest stanowczo za drogi. Gdyby nie za wysoka cena, to nie ulega wątpliwości, że wkrótce na każdym kroku i przy każdym przedmiocie spotkalibyśmy się z celofanem, już choćby z tej racji, że jest to klasyczny materjał do opakowań. To było właściwie najdawniejsze jego zastosowanie. Wkrótce jednak połapano się, że celofan nadaje się również i na materjały dla... ubiorów damskich. Wszystko bowiem przez niego... dobrze widać. Cóż dziwnego, że zainteresowali się nim twórcy mody najpierw w Ameryce, potem także i w Europie. Ale „honny soit, qui mal y pense". Niekoniecznie muszą to być zaraz suknie i dessous z celofanu. Czyż nie jest piękna parasolka z tego materjału? Niby zasłania przed czemś, ale właściwie niewiadomo przed czem. Światło słoneczne bowiem doskonale sobie przez nią przechodzi. Po zastanowieniu się dochodzimy do wniosku, że promienie ultrafjołkowe, to jest właśnie te, które opalają, a także i cieplne, nie mają już swej pierwotnej siły po przejściu przez celofan. A zatem ta błona, idealnie przeźroczysta, jednak zasłania przed czemś. Zwłaszcza przed bakterjami. Badania, przeprowadzone nad środkami żywności, szczelnie zapakowanemi w celofan, wykazały, że nie psują się one pod tym pancerzem. Zato już nie chroni celofan przed wodą. „Deszczochronów" z celofanu niktby nie kupił. Ten błąd stosunkowo słabej odporności przed wodą posiada celofan na równi ze swoim „rodzonym bratem" — sztucznym jedwabiem. Przecież celofan, to nic innego, jak sztuczny jedwab, tylko — jakby to powiedzieć — skondenzowany. Czy ktoś jeszcze teraz dziwić się będzie, że z celofanu, pokrajanego w cienkei paski, lub w nitki, robią oczywiście po zmieszaniu z „prawdziwemi" włóknami, tkaniny — właśnie te, które ostatnio były nawet bardzo modne? Niemcy, którzy mają olbrzymią produkcję sztucznego jedwabiu i celofanu, bardzo dużo robią dla spopularyzowania tej nowomodnej tkaniny i to pod najrozmaitszemi nazwami: zwiększone bowiem zużycie sztucznych włókien zmniejsza zużycie bawełny lub wełny, które trzeba dowozić za dewizy. A dewizy, to dzisiaj najcenniejsze dobro, które każdy kraj woli zagarnąć dla siebie, a nie użyczać drugiemu.

Pomijając jednak kwestję, czy celofan powołany jest do konkurowania z innemi surowcami tekstylnemi, nie ulega wątpliwości, że piękne są suknie, przybrane w miarę celofanem. Pod tym względem stanie się on zapewne coraz bardziej popularny.

Celofan służy jednak nietylko do codziennego użytku. Ma on coraz większe zastosowanie w różnych gałęziach przemysłu. Wymienimy tu przede wszystkiem graficzny. Czytelnicy niniejszego artykułu dowiedzą się zapewne z zainteresowaniem, że celofan odgrywa doniosłą rolę przy druku naszego magazynu. „As", jak i inne tygodniki świata, drukowane techniką rotograwurową, korzystają z cennych właściwości celofanu, który jest przeźroczysty jak szkło i zezwala na umieszczenie jak na papierze druku, który ma być potem skopjowany do trawienia na walcach. Cud papierowego szkła...

W rzeczywistości celofan ma dużo więcej wspólnego z papierem, aniżeli ze szkłem. Ciekawa jest jego genealogja. Wywodzi się z „przodków" bardzo szlachetnych, bo z... majestatycznych świerków, lub też z innych drzew szpilkowych. Któżby przypuszczał, że z drzewa może wyjść taka „progenitura"? — A jednak technika dzisiejsza dokazuje takich cudów.



Przenoszenie substancji celofanowej do dalszej maszynowej przeróbki.



Poniżej: rulony gotowego celofanu.

Oczywiście, że przemiana odbywa się w kilku etapach. A więc najpierw musimy z drzewa uzyskać celulozę. Drzewo czyści się starannie z kory, łyka itp. i rozdrabnia na kawałki, około 2 cm długie, 1—2 cm szerokie i około 0.5 do 1.5 cm grube. Potem w olbrzymich zbiornikach, szczelnie zamkniętych, gotuje się drewno z różnemi chemikaljami, albo z ługiem sodowym (celuloza natronowa), albo z tymże ługiem z dodatkiem siarczku sodowego, sody i siarczanu sodowego (celuloza sulfatowa). Najczęściej jednak z siarczynami wapnia lub magnezu. Stąd nazwa celuloza siarczynowa, czyli sulfitowa. Wspaniałe okazy drewna zmieniają się nie do poznania po tych mechanicznych i chemicznych zabiegach,

stosowanych przy temperaturze 135 do 180 stopni, a ciśnieniu 4 do 8 atmosfer (zależnie od stosowanej metody). Rozkładają się kompletnie. Żywice, cukry, gumy, zawarte w drewnie, oddzielają się, a pozostaje celuloza, czyli błonnik. Ten jednak musi być jeszcze ze względu na swą ciemną barwę czyszczony i bielony chlorkiem. W ten sposób półfabrykat, ojciec — że tak powiem — celofanu, jest gotów.

Ludzie znali już dawno sposób fabrykacji celulozy z drzewa. Wszelkie jednak próby zużytkowania tej substancji do wyrobu czyto sztucznego jedwabiu, czy też błon na wzór błon celofanowych, nie powiodły się. Dopiero w r. 1891, Anglicy Cross, Bevan i Beadle wpadli na pomysł i udoskonalili sposób rozpuszczania celulozy drzewnej. Ich wynalazek stał się podstawą olbrzymiego rozwoju przemysłu sztucznego jedwabiu, który dawniej opierał się wyłącznie na celulozie z bawełny. Bo największa ilość tego fabrykatu, no i celofan wyrabia się dziś ich metodą, oczywiście ulepszaną i przekształcaną w ciągu kilkudziesięciu lat. Jak ona wygląda w przybliżeniu?

Najpierw działa się na celulozę w specjalnych naczyniach znowu ługiem sodowym. To jest bowiem najgorszy wróg drewna i celulozy. Najłatwiej jest dokuczyć właśnie nim. Ług 18-procentowy działa przez kilka godzin. Gdy już wywarł swoje piętno na celulozie, która naogół jest oporna i nie łatwo zatraca swoją indywidualność, usuwa się nadmiar ługu. Ale i tak pozostaje jeszcze przy celulozie trzykroć od niej większa ilość tego czynnika. Dlatego tę mieszaninę kruszy się na drobniutkie części i pozostawia przez kilka dni w spokoju. Technicy mówią, że celuloza przez ten czas „dojrzewa“. Jest to tak zwane „dojrzewanie wstępne“. Ług przez ten czas robi dalej swoje. Rozbija potężne i wielkie molekuły celulozy na drobniejsze, które łatwiej potem ulegają dalszemu przekształceniu. Po kilku dopiero dniach następuje właściwy, ostateczny atak na celulozę. Oto w specjalnych aparatach sulfidują ją, tj. działają na nią dwusiarczkiem węgla. Powstaje zgoła nowy związek. Chemicy mienią go sodowym ksantogenianem celulozy. Ten się już rozpuszcza w rozrzedzonym ługu sodowym i wygląda potem jak miód; ma lepkość, czyli wiskozywność bardzo znaczną. Dlatego nazywają go też „wiskozą“, a cały ten sposób fabrykacji wiskozowym.

Z pięknych drzew, które beztrosko żyły w lesie, powstała wiskoza. Nowy etap przemiany... Tę wiskozę filtruje się i znowu pozostawia przez jakiś czas w spokoju. Musi dojrzewać. To dojrzewanie jest bardzo ważne. Od niego zależy w znacznej mierze rezultat całej prasy. Dotychczas sposób pracy był mniej więcej jednakowy zarówno dla sztucznego jedwabiu jak i dla celofanu. Teraz drogi się rozchodzą. Wiskoza, z której ma powstać sztuczny jedwab, inaczej jest traktowana, a inaczej znów wiskoza na celofan. W pierwszym wypadku przepuszcza się wiskozę pod ciśnieniem przez dysze z drobnemi otworkami, a wychodzące włókna pod działaniem chemikalij tężeją i dają przędzę jedwabną. W naszym wypadku zaś, wpuszcza się wiskozę przez cienką szparę do kąpieli z kwasami i tam tężeje na błonę. Pod działaniem kwaśnej kąpieli, zawierającej zawsze jakieś sole, np. siarczan sodowy, lub salmiak, przeważnie trochę cukru gronowego itd. wiskoza rozkłada się spowrotem i zamienia znów na wodorotlenek celulozy.

Po wielu kąpielach błona zupełnie jest oczyszczoną z pozostałości całego chemicznego procesu fabrykacji. Nabiera wyglądu substancji czystej i szklistej, która jest mocną i nierozpuszczalną. Człowiek zmusił w ten sposób celulozę z drzewa, aby przybrała tę formę, która dogodna jest dla jego celów.

Inż. J. A.

Badanie jednostajnej przejrzystości celofanu przed oddaniem do sprzedaży.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA: PRESSE-PHOTO.



W kole: Celofan używa się dziś często do wytwornych opakowań...



Na lewo: Nici celofanowe któremi przetyka się wiele damskich materiałów, wysnuwa niezwykle precyzyjna maszyna...



Na plażach pojawiły się parasolki z celofanu...

CZŁOWIEK, KTÓRY „UKRADŁ" JULJUSZA CEZARA.

NOWELA

WILHELM WELDIN

Juljusz Cezar usiadł i rozluźnił swoją togę, gdyż straszny upał mu dokwierał.

— Złych czasów dożyliśmy!

— „Nędza z biedą", — potwierdził Brutus. — Czy też panu oberwali...?

— 5000 na miesiąc!

Z powagą zanurzył Brutus swoją słomkę w szklance whisky and soda.

Cezar wyciągnął zegarek i nachmurzył się srodze.

— Jedenasta, a reżysera ciągle niema. Świństwo!

W głębi wielkiej hali siedzieli pretorjanie, paląc papierosy. Czuli się nieswojo w blaszanych zbrojach i robili gniewne miny.

Urządzenie dźwiękowego aparatu było już przygotowane do zdjęć. Kręciło się jeszcze koło niego dwóch ludzi w sportowych koszulach.

Brutus wypił swoją szklankę whisky i zaczął wzrokiem szukać czegoś.

— Wozu triumfalnego jeszcze niema!

Cezar wyciągnął ponownie zegarek i pełen zniecierpliwienia spojrzał do wnętrza otwartej szeroko hali, skąd miał nadjechać triumfalny wóz. Zdenerwowanie jego było bardzo widoczne.

W tej chwili ktoś krzyknął przy bramie: „Baczność" — i uskoczył. Jak wściekła pantera, wpadł do hali samochód. Był to ciężki 8-cylindrowy wóz. Z jego okien wyzierały złowrogo karabiny maszynowe.

Wóz zatoczył łuk i zatrzymał się na środku sali.

Jakiś człowiek wyskoczył z niego, trzymając w ręku browning i krzyknął: „Ręce do góry!"

Pretorjanom wypadły wśród wielkiego łoskotu tarcze z rąk. Jakiś miecz ugodził w nogi rycerza; powstał niezwykły zgiełk i zamieszanie, jakby od uderzenia pioruna.

Zapanowała śmiertelna cisza.

— Kto się ruszy z miejsca, będzie zastrzelony jak pies, — krzyknął człowiek z browningiem. Szukamy Lionela Dorbana! Panie Lionel Dorban! wystąp!

Odtwórca roli Cezara podniósł się majestatycznie ze swego fotela trzcinowego.

— Czego sobie panowie życzycie? — zapytał nerwowo.

— Chcemy szanownego pana poprosić na króciutką przechadzkę! Prosimy, panie Dorban.

Lionel stał jak skamieniały na swojem miejscu.

— A więc?...

— Porwanie dziecka, — szepnęła jakaś statystka w głębi. Zapewne okup... Naturalnie. Oho, ho, jakże to interesujące.

— Cisza! — krzyknął człowiek z browningiem — i w tej samej chwili coś zadźwięczało w karabinie maszynowym.

Był to naprawdę dramatyczny moment.

Wtem ktoś wybuchnął śmiechem..

— Ależ dzieci! Nie dajcie się nabierać! To jest przecież Conny! odtwórca bohaterskich ról, w gangsterowskich filmach! Wpadli do nas, pod fałszywym adresem, a teraz stroją sobie z nas żarty i wyrzucają nas. Złowrogi nastrój zmienił się natychmiast w rozpasany humor. Za chwilę wszyscy rzucili się na człowieka z browningiem.

Ten cofnął się o kilka kroków i twarz jego wykrzywił pocieszny grymas.

— Otóż i tak! — powiedział, chowając broń.

Tylko Lionel Dorban, blady jak ściana trzymał się zdaleka.

Człowiek, nazwany Conny, zapraszał go do siebie.

Lionel trzęsąc się ze wzruszenia, przystąpił do niego. Salwa śmiechu buchnęła w atelier.

— Ależ to tchórz! — krzyczał fałszywy Brutus. — On dotąd nie pojął dowcipu.

Tymczasem Cezar, jak w jakimś śnie lunatycznym, posuwał się naprost człowieka z browningiem.

Zaledwie znalazł się w pobliżu niego, zaterkotały karabiny maszynowe... Tak — takatakatak — tak — takataktak — tak — tak...

Zgóry spadły odłamki potężnych jupiterów, zdruzgotanych kulami. W tym samym momencie wciągnięto przerażonego Dorbana do wozu, który natychmiast pełnym gazem ruszył z miejsca i opuścił halę.

Lionel znalazł się pomiędzy wycelowanemi do niego browningami i karabinami maszynowemi.

Portjerzy wytwórni, widząc uzbrojony wóz z pobladłym Cezarem w środku, śmiali się do rozpuku:

— Conny kręci nowe porwanie.

Toż samo mówili policjanci:

— Znamy Conny'ego... nowe zdjęcie...

* * *

Tymczasem wóz, przez nikogo niezatrzymany, pędził ulicami miasta w wyścigowem tempie.

Gdy minęły już ostatnie domy Hollywood, Dorban wyprostował się i zarumienił. Przestał trząść się jak osika... Oparł przyjaźnie rękę na plecach swego prześladowcy i powiedział: „Alea jacta est" (kości zostały rzucone).

Tymczasem człowiek z browningiem zdjął sztuczne wąsy i ukazał swą ordynarną łobuzerską gębę.

— Wszystko w porządku — zauważył lakonicznie.

— Dobrze pan to odstawił — pochwalił Cezar... — Bałem się tylko o nas w pewnym momencie, gdy uważano pana, rzeczywiście za Conny'ego. — Myślałem już, że się wsypiemy! Pominąwszy sumę okupu, którą się podzielimy — ciągnął Cezar — co za reklama?... Firma musi płacić. Beze mnie film nie pójdzie. Już 2 tysiące metrów nakręcili... Za wiele kapitału włożono już w ten obraz...

• • •

Po paru dniach wszyscy, którzy byli świadkami porwania Cezara i sądzili, że był to tylko niewinny żart rzekomego Conny'ego, doznali niemiłego rozczarowania. Właścicielom wytwórni zrzedła do reszty mina, ponieważ musieli wpłacić okup w kwocie trzystu tysięcy dolarów, by odzyskać spowrotem bohatera swego nowego filmu...

• • •

Juljusz Cezar znowu pije whisky w atelier.

Gawędzi z Brutusem. Jest nieco osowiały.

— Wiesz co! Tobie mogę wyznać szczerą prawdę! Jesteś chyba mym najlepszym przyjacielem!... Gangsterzy, którzy mnie uprowadzili, umówili się ze mną na pięćdziesiąt procent... Tymczasem, skoro tylko okup otrzymali, nie dali mi ani grosza i jeszcze w dodatku mocno poturbowali... Wyobraż sobie, kazali mi nawet zapłacić za pobyt pod swoją bandycką opieką... Kiepskie czasy nastały dla porządnych ludzi! Same złe interesy!...

(Tłum. M. Dąbrowa.)

START DO TRAGICZNEGO LOTU... →

Wiley Post, najgłośniejszy lotnik świata wgrusza w towarzystwie aktora Willy Rogersa w swą ostatnią podróż powietrzną nad Alaską. (Fot. New York Times).



Hokus-Pokus...!

Dokończenie „Rycerzy Czarnej Magji"



Na lewo: Thavara-Ray nacina swe ramię nożem, powodując głęboką ranę — trick, polegający na sugestji i zręcznem ufarbowaniu rzekomo zranionego miejsca.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA: HIRZEL — GENEWA.



Łatwo jest chwytać nieistniejące kule z pistoletu, który strzela zwykłemi kapslami.



Po odpowiedniem spreparowaniu ciała można do niego przyszyć nawet guzik...

W poprzednim numerze naszego Magazynu zamieściliśmy pierwszą część artykułu słynnego iluzjonisty Jamińskiego, w której autor zapoznał Czytelników z życiorysami głośnych „Rycerzy Czarnej Magji", przyczem główny nacisk kładł na źródła ich wielkiej sławy.

W drugiej części, którą poniżej zamieszczamy, Jamiński uchyla rąbka tajemnicy praktyk fakirów hinduskich i ich mniej lub więcej zręcznych naśladowców. Czy mu się to w zupełności udało — ocenią sami Czytelnicy.

II.

Źródła, z których fakirzy hindusi czerpią swe „nadprzyrodzone" siły, nie są już dzisiaj wyłączną tajemnicą Indyj. Programy światowych kabaretów zapowiadają często występy najsłynniejszych na świecie" czarodziejów, którzy przy świetle reflektorów popisują się zupełnie niewiarygodnemi sztuczkami. Nie wszystkie ich tricki zostały należycie wyświetlone, bo fakirzy w dobrze zrozumiałym, własnym interesie, strzegą zazdrośnie tajemnic swego zawodu, przechodzących drogą dziedzictwa z generacji na generację.

Już zgóry musimy sobie powiedzieć, że w ich produkcjach niema absolutnie nic nadprzyrodzonego, a opierają się one na długoletnich przygotowaniach, wymagających olbrzymiej nieraz cierpliwości i wytrwałości, koniecznej do zdobycia doskonałości w tym fachu.

Jednym z najsłynniejszych fakirów, który olśniewał Paryż, był Thawara-Ray, który popisywał się sztuczką, ściągającą co wieczór tłumy widzów do kabaretu.

Oto na scenie stawiano drabinę, której szczeble składały się z ostrych jak brzytwa mieczów. Konstrukcja drabiny była tego rodzaju, że każdy z tych szczebli można było wyjąć, aby publiczność mogła się przekonać, iż są to prawdziwe naostrzone miecze.

Pokazywano je publiczności, następnie wkładano spowrotem do drabiny, poczem Thawara-Ray wchodził i schodził boso po tej drabinie bez najmniejszego nawet zadraśnięcia skóry.

„Cud" ten da się wytłumaczyć w zupełnie prosty sposób. Każdy szczebel-miecz posiadał mianowicie z boku (gdzie go wtykano do drabiny), małą sprężynkę, która zupełnie niezauważona przez publiczność zmieniała położenie miecza, w konsekwencji czego fakir nie chodził po ostrzach mieczów, ale po klindze. Publiczność tego nie widziała, bo noga zakrywała w zupełności ostrze. Z chwilą, kiedy noga fakira opuszczała dany szczebel, miecz wracał automatycznie do poprzedniej pozycji.

Inną sztuką, wywołującą zachwyt publiczności, był taniec Thawara-Ray'a po tłuczonem szkle. Przynoszono na scenę kosz takiego szkła i rozkładano je tak, by ostre kanty znajdowały się na wierzchu. I oto na tym mało zachęcającym do tańca parkiecie Thawara Ray wykonywał najróżniejsze ewolucje choreograficzne. Huragan oklasków towarzyszył popisom człowieka, którego ani ostre miecze, ani odłamki szkła nie mogły zranić.

W rzeczywistości odłamki szkła były odpowiednio spreparowane, ostre boki spiłowane i wygładzone. Naturalnie, nawet taniec po spiłowanych odłamkach szkła nie należy do przyjemności, ale drogą wytrwałej pracy można i tutaj nabyć odpowiedniej rutyny, tem bardziej, jeżeli taki „cud" jest odpowiednio płatny i nie połączony z żadnem niebezpieczeństwem.

Jednym z tricków, należących do „żelaznego" repertuaru fakirów hinduskich — to wbijanie sobie miecza w ciało.

Sztuka ta polega jedynie na cienkości i giętkości klingi damasceńskiej. Oto popisujący się opasany jest pod swoim kostjumem cienką pochwą metalową w formie

półkola, obszytą skórą. Wbijając sobie miecz zprzodu, wpycha on w rzeczywistości klingę do pochwy i zapomocą drugiego silnego pchnięcia przepycha ją przez półkole pochwy tak, że wychodzi ona ztyłu, wywołując wrażenie, iż fakir rzeczywiście przebił sobie ciało mieczem.

Zaznaczyć należy, że jeszcze żaden fakir sztuki tej nie dokonał bez powiewnych szat hinduskich, które znakomicie osłaniają „nadprzyrodzone siły" w formie... zupełnie prostej pochwy metalowej.

Inny z fakirów, Rayo, objeżdżał przez kilka lat wszystkie państwa, pozostając w każdem mieście jedynie dwa do trzech tygodni. Obiecywał on publiczności, że w jej oczach przecierpi iście piekielne tortury. Zapowiadał, że da sobie przygwoździć język do deski i w tej pozycji pozostanie dłuższy czas.

Poniżej: Jednym z najciekawszych tricków fakira Thavara-Ray jest przebicie języka specjalnym gwoździem i przytwierdzenie go do deski...



Poniżej: A tu widzimy, jak w rzeczywistości wygląda przebicie mieczem... ciała.



Zawsze w czasie jego popisów odbywała się kontrola lekarska, która badała dokładnie długi gwóźdź srebrny, zapomocą którego przybijano język do deski. Gwóźdź ten miał poniżej główki mały otwór, poprzez który przeciągano cienki drucik, przypieczętowany następnie do deski, tak, że nie było żadnej możliwości zmiany gwoździa bez naruszenia pieczęci (patrz fotografja obok). Rayo wykazywał nadludzką wytrzymałość! Przez 14 dni leżał w tej pozycji z przybitym gwoździem do deski, nie mogąc jeść ani pić.

„Straszny" ten proceder jest czemś, co każdy potrafi naśladować, jeżeli podda się tylko drobnej i zupełnie niegroźnej operacji, podobnej do tej, jaką przeprowadzają panie, przekłuwając sobie uszy, celem założenia kolczyków. Otóż w ten sam sposób można sobie dać przekłuć język.

Poza tem trick Raya opierał się na tem, iż używał on drugiego gwoździa, zupełnie tak samo wyglądającego, jak ten, którym przebijano język, tylko z tą różnicą, że... główkę można było odkręcać. W chwili, kiedy miano przeciągać przez mały otwór drucik dla przypieczętowania gwoździa do deski, Rayo zapomocą asystentów swoich przeprowadzał szybko zmianę gwoździa.

Pozostawienie w niebezpiecznej pozycji i odcierpienie męczarń przez czternaście dni, było dla niego drobnostką, gdyż każdej chwili mógł odśrubować główkę gwoździa, wyjąć język i... wracać do poprzedniej pozycji ilekroć publiczność chciała zobaczyć tajemniczego fakira, znoszącego spokojnie iście piekielne tortury.

Europejczykiem, który swój program opierał na praktykach fakirów hinduskich, był niejaki Reo Percil. Specjalnością jego, to balansowanie na ostrzu miecza. Przy tym popisie przymocowywano do deski trzy miecze, przytrzymywane u rękojeści specjalnemi przyrządami. Fakir oświadczał, iż wprowadzi się w rodzaj transu hipnotycznego i po kilku minutach leżał zupełnie jak sparaliżowany na ziemi. Wówczas asystenci podnosili go i kładli sztywnego jak kawałek drzewa na ostrza tych trzech mieczów. Pozycja taka, coprawda niewygodna, nie miała w sobie jeszcze nic nadzwyczajnego. Prawdziwy „cud" następował wówczas, gdy asystenci wyjmowali miecz, który podpierał jego plecy, a następnie ten, na którym opierały się jego nogi, tak, że Percil dosłownie unosił się w powietrzu, opierając jedynie kark na ostrzu trzeciego miecza. Sukces był wręcz niesłychany! Przecież to unoszenie się w powietrzu zaprzeczało wszelkim prawidłom fizyki.

Cała tajemnica niebywałego tricku opiera się na... pasie stalowym, który „fakir" nosił na sobie pod szatami. Pas ten wyposażony był w trzy drobne otwory, w które wchodzą ostrza trzech mieczów. Ciężar zaś taśmy stalowej, zgrubionej na karku, stanowi wyrównanie ciężaru dla nóg, wiszących w powietrzu bez oparcia. Całe ciało fakira opiera się więc na jednym punkcie, a wyrównanie ciężaru przeprowadzone jest tak, jak przy wadze, której jedno ramię jest długie, a drugie krótkie.

Dalsze, bardzo ulubione popisy fakirów stanowi rąbanie drzewa na głowie i połykanie ognia. Porąbanie kilku kawałków drzewa ostrym toporkiem na głowie nie jest przedsięwzięciem wcale niebezpiecznem, jeżeli... turban wyposażony jest w drobny materac sprężynowy. Tak samo połykanie ognia jest jedynie „cudem chemji". Ogień, stanowiący „potrawę" dla fakirów, pali się wprawdzie jasnym płomieniem, ale ciepłota jego nie jest większa, niż zwykłego ognia bengalskiego. Na tym samym tricku polega połykanie rozżarzonego żelaza, lub chodzenie po blokach żelaznych, rozpalonych do białości. Oto bloki te poprostu nie są z żelaza, tylko z innych metali, żarzących się przy umiarkowanych temperaturach. Poza tem fakirzy specjalnie preparują sobie stopy przeciw gorącu, naprzykład zapomocą natarcia ich białkiem.

(Dokończenie na str. 31-szej).



Na prawo. Połykanie ognia wygląda tylko na oko niebezpiecznie — tymczasem, jeśli jest to ogień bengalski, jego temperatura nie przewyższa ciepłoty świeżo nalanej zupy.

pożegnanie z morzem

Tego dnia — a był to ostatni z wielu, które jak najpiękniejszą bajkę prześniłem tego lata nad brzegami polskiego morza — słońce, co zaledwie oderwało swą gorejącą tarczą od lekko pomarszczonej powierzchni wód, oświetliło drogę, po której zdążałem na półwysep helski.

Daleko za mną pozostały wyniosłe krany gdyńskiego portu, które niby macki polipa-olbrzyma, rozłożonego nad brudną tonią basenów białem cielskiem niekończącego się mola, chwytały z podjeżdżających pod nie wagonów setki ton towarów, by je zaraz potem rzucić w paszcze czyhających na żer statków-rekinów.

Białe, jak z kartonu powycinane domy, co nieprzerwanem pasmem okalają Kamienną Górę i podchodzą aż pod lasy Redłowa, niknęły w mgle poranku...

Przedemną otwierały się małe uliczki Pucka.

W drodze, gdy samochód biegł blisko szuwarów morza-jeziora, zerwały się z jego tafli dwa duże ptaszyska. Z hukiem swych paruset-konnych motorów pomknęły one tuż nad moją głową w stronę półwyspu helskiego. Niedawno jeszcze tylko żagle małych kutrów rybackich mąciły tu monotonję wodnego krajobrazu. Dziś nad brzegami zatoki puckiej rozsiadły się hangary dywizjonu hydroplanów, których dalekie wypady, aż po linję strefy Wolnego Miasta na Bałtyku są dla Niemców codzienną przestrogą, że nad morzem polskiem czuwa polska straż.

Niedługo potem inny, może jeszcze bardziej oryginalny widok przykuwa mą uwagę... — Oto po piaszczystym brzegu Jastarni przeciąga stado owiec... W powietrzu drga cała gama dzwoneczków, które, jak najpiękniejsza pieśń tatrzańska, przywodzą mi na pamięć nasze dalekie hale i góry... Przecieram oczy i wierzyć mi się nie chce, że te pieścidełka surowych juhasów przewędrowały cały szmat naszej ziemi — od źródeł Dunajca, aż po wody Bałtyku.

Jadę dalej i myśli wysyłam przed siebie. Muszę dziś jeszcze dotrzeć aż na cypel półwyspu... zajrzeć w oczy wyniosłej latarni, co jest zbawieniem zabłąkanych we mgle statków. Potem pognam pod mury jej siostrzycy na Rozewiu... z urwistego brzegu rzucę okiem w kłębiące się tonie... zesunę się cicho do Lisiego Jaru i chyłkiem, jak przestępca, ścigany wyrzutami sumienia, pobiegnę na wydmę piaszczystą, gdzie jeszcze przed kilku dniami mówiłem z kimś długo o szczęściu, którego dotąd nie było... Potem wrócę na górę, którą Jastrzębią nazywają i wejdę do lasu, gdzie snują się wspomnienia lat dawnych... Na rozłożystych drzewach dostrzegę może litery, które w korze wyryły kiedyś ręce dziecka-kobiety. Stanę koło nich, jak pod drogowskazem, który już raz skierował bieg mego życia na inne tory. Może więc i dziś stanie się to samo — dziś w dniu mego pożegnania z morzem...

J. L.

Na lewo: Cudowną jest noc księżycowa na wzburzonych falach morza...

Poniżej: Stado owiec na półwyspie helskim — to widok niezwykle charakterystyczny dla tej części wybrzeża polskiego...



Idziemy na przyjęcie do Hanny Walskiej...



Hanna Walska — Mac Cormick
Fot. Manuel — Paryż.

Pani Walska słynna nasza rodaczka nieczęsto zaprasza... Ale zato każde z jej przyjęć staje się sensacją dnia, i długo wspominane jest na obu półkulach. Tak, na obu: bo zanim Europa przestanie mówić o ostatniem przyjęciu, Hanna Walska przypomina sobie o swojem drugiem nazwisku, nazwisku swego męża, i jako Missis Mac-Cormick, żona jednego z najbogatszych przemysłowców Stanów Zjednoczonych, jedzie spędzić kilka miesięcy w roku na Nowym Lądzie.

Gdzie jest w tej chwili? Wystarczy przejrzeć kroniki towarzyskie pism stołecznych... A choć w stolicach nie brak wielkich i znanych salonów, choć salony te słyną ze swego towarzystwa, zabaw, czy takiej lub innej cechy gościnności, to jednak pani Walska wodzi wśród nich prym smakiem, ekscentrycznością, i — doborem towarzystwa.

Jest ona przedewszystkiem wielką artystką i subtelną śpiewaczką; jest też organizatorką zabaw i pełną energji i pomysłowości; także kobietą pracy, przed którą każdy chyli czoła. I nie wiadomo, czy słynie bardziej jako artystka, czy jako propagatorka wytwornych mód, które potrafi lansować z niebywałym wdziękiem, czy wkońcu dla swych subtelnych perfum i kosztowności, stawiających ją w rzędzie pierwszych kobiet świata.

Pewnego razu urządziła ona dla przyjaciół skromne przyjęcie — na scenie teatru „des Champs Elysées", który jest zresztą jej własnością. Wspominamy nawiasem, że gmach ten, znajdujący się w pobliżu placu Alma i polskiej ambasady, mieści wielką salę teatralno-koncertową, o czterech tysiącach miejsc, dalej eksperymentalną salę studia „des Champs Elysées" i „Comédie des Champs Elysees". Wielka sala słynie ze swej orkiestry symfonicznej, uważanej za najlepszą w Paryżu. Hanna Walska, zamierzała wysłać ją na swój koszt w prezencie Warszawie; nie doszło to jednak do skutku, z niewiadomych nam przyczyn. W tejże sali odbywają się też (obok sali Pleyela) najwybitniejsze koncerty sezonu; tu koncertuje Paderewski, Toscanini, Heifetz, Szaljapin, balet Joosta i in.

Charakterystycznem dla tych wieczorów jest pojawianie się publiczności w strojach wieczorowych, co stawia tę salę chyba tylko na poziomie Opery paryskiej, gdzie fraki obowiązują na lepszych miejscach.

Powracam do opisu owego przyjęcia na scenie. Po obu stronach stoliki. Widownia oczywiście pusta... W głębi między kulisami: bufet, zastawiony półmiskami z lilipucimi „sandwichami", których kształty wzbudzają podziw, dalej ciasta i różne inne słodycze. Lokaje we frakach i białych rękawiczkach, umieszczeni za stołami, częstują gości kielichami szampana lub szklaneczkami oranżady, czy herbaty. Godzina piąta popołudniu. Gości wciąż przybywa. Jest między nimi i ambasadarowa Chłapowska, ambasador Wielkiej Brytanji, Ludmiła Pitoeff i van Dongen.

W pewnej chwili pianista uderza pierwsze akordy swej kompozycji. Lecz zainteresowanie bufetem jest tak wielkie, że nikt go nie słucha. Pani Walska, która cały czas czuwa nad każdym szczegółem przyjęcia, wpada na zabawny pomysł: daje znak, i maszynista opuszcza kurtynę, potem drugą zasłonę i w ten sposób oddziela „strategicznie" bufet od reszty sceny... Pozostało dosyć miejsca, by amatorzy specjałów, rekrutujący się zresztą z pierwszorzędnych sfer Paryża, przedostali się z ciemności na scenę — obstawioną stolikami i tonącą w świetle. Po chwili panuje na niej półmrok: Yeichi Nimura tanecznym krokiem wkracza na scenę, demonstrując swą wielką sztukę choreograficzną, którą zna już i Polska.

* * *

Innym znów razem Hanna Walska wystawiła operę w zupełnie nowych dekoracjach, zapraszając „cały znajomy Paryż", co w danym wypadku nie było przesadą: sala bowiem była zapełniona za zaproszeniami aż do ostatniego miejsca: Gospodyni zagrała główną rolę Melissandy, zdobywając wielki sukces artystyczny.

Jak bardzo nasza rodaczka jest poważana i lubiana, niech posłuży za dowód następujące zdarzenie. Działo się to rok temu. Wielki kapelmistrz włoski, Toscanini, dyrygował wówczas w teatrze pani Walskiej. W loży, znajdującej się na wprost sceny, zgromadziła ona grono swych przyjaciół. Siedziałem w głębi, notując troskliwie w pamięci nazwiska pozostałych gości loży: zmarły — w międzyczasie — minister Barthou, min. Alalarmé, min. Flandin (dzisiejszy premjer), min. Anatol Mühlstein, ambasador Brazylji, pani Clemenceau, poseł Ciechomski, muzyk Radwan i paru kolegów z prasy całego świata... Podczas pauzy goście przeszli do prywatnego salonu Hanny Walskiej, ukrytego w lustrzanych ścianach hallu... Żałowałem niezmiernie, że wobec oficjalnego charakteru gości, odbycie dłuższej rozmowy z panią Walską było wręcz niemożliwem. Ten zawód wynagrodziła mi ona zapytaniem:

— Czy pan dysponuje czasem, kiedyś w niedzielę? Zaproszę pana na skromny obiad...

Istotnie wkrótce potem otrzymałem wytworny karton, zapraszający mnie do zamku naszej słynnej rodaczki; na odwrocie mapka wskazywała drogę samochodu (40 km. od

Paryża, za Wersalem) i najbliższy dworzec.

Na miejscu, u wejścia do parku rząd strzelców w czerwonych kurtkach anonsował każdego gościa myśliwską fanfarą... Towarzystwo zbierało się w cieniu drzew. Obok prez. Pathe była tu Lisa Duncan, wybitna tancerka, spadkobierczyni Izadory; Wielka Księżna Helena; Helena Qacaresco, prezydentka kobiecej Akademji Literatury w Paryżu i delegatka Rumunji w Lidze Narodów... Zresztą nie będę się wysilał na dalsze cytowanie tej litanji 150 nazwisk ze świata politycznego, dyplomatycznego, artystycznego, prasy i arystokracji. Zakąski podane były w starym, chłodnym, półciemnym budynku. Każdy brał talerz i nakładał, co mu się podobało. Wielu myślało, że na tem skończy się ów obiad piknikowy, uwzględniając ilość i jakość półmisków. Lecz, gdy goście znaleźli się znowu na polanie i zaledwie zamienili zdań kilka, sygnał wezwał ich do sal stylowych, z których główna zamieniona została na bufet, zastawiony znowu półmiskami właściwego „dejeuner"...



Kapela wiejska przygrywała tymczasem w parku. Po pieczystem, sałatach i rybach przyszła kolej na deser, a po lodach — tańce rytmiczne na polanie półnagich rusałek, które dopieroco kąpały się w pięknej sadzawce, pływając wśród złotych rybek...

Niestrudzona pani domu, nie ma jeszcze czasu na wypoczynek: biegnie w swej białej leciutkiej sukience do pałacu i po chwili wraca, popychając własnoręcznie przed sobą wózek, naładowany pudełkami różnych wymiarów. To prezenty dla gości...

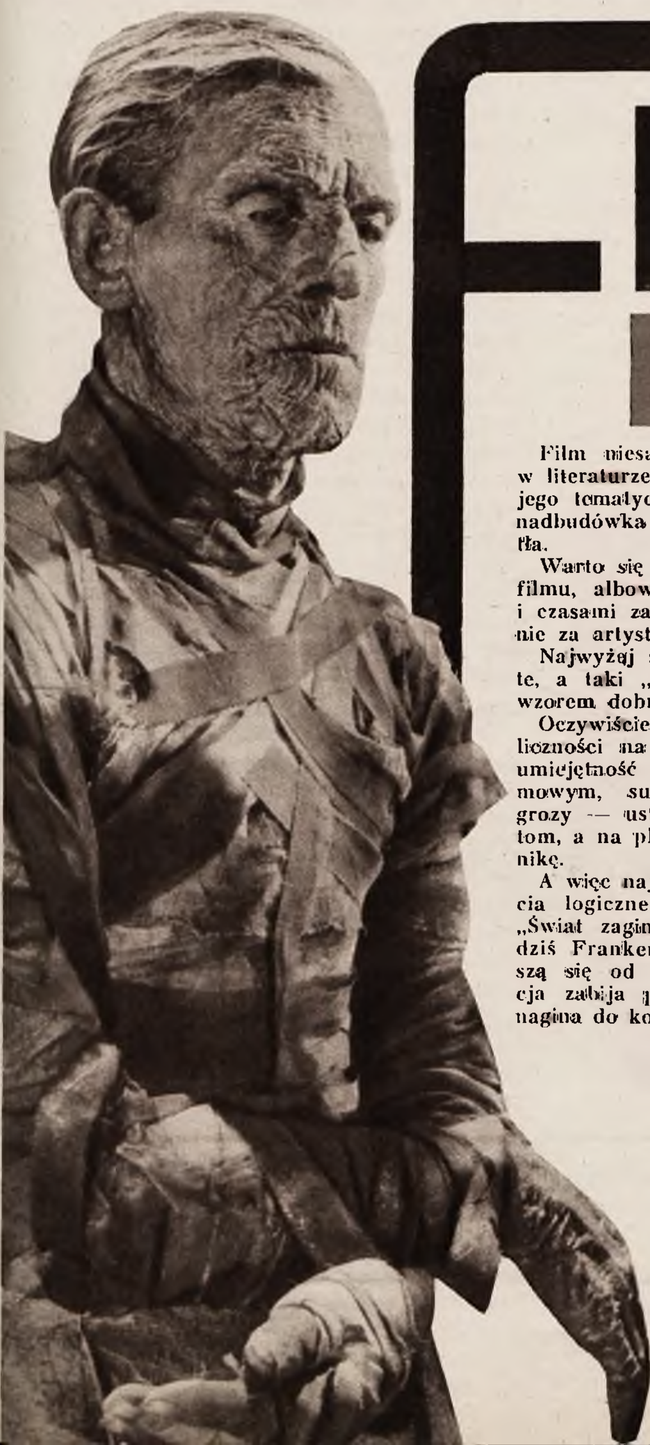
Nazajutrz prasa znowu opiewa w superlatywach ostatnie przyjęcie u Hanny Walskiej... Bywalcy zaś z ciekawością stawiają sobie pytanie: jakie też będzie następne?

Zygmunt Frenkiel (Paryż).

Na lewo: Hanna Walska w „Weselu Figara", granem w jej teatrze „Des Champs Elysees".

Presse-Photo.

FILM STRASZLIWYCH NIESPODZIANEK



Film niesamowity ma swój odpowiednik w literaturze, z niej też zresztą wywodzi się jego tematyczna koncepcja, na której, jako nadbudówka — znalazło się trickowe ujęcie tła.

Warto się zająć omówieniem tego rodzaju filmu, albowiem jest on bardzo popularny i czasami zasługiwał na specjalne wyróżnienie za artystyczne ujęcie.

Najwyżej stały pierwsze filmy niesamowite, a taki „Gabinet figur woskowych" jest wzorem dobrego filmu.

Oczywiście od lat zmienił się pogląd publiczności na dobry film. Dawne podejścia, umiejętność wypowiadania się językiem filmowym, subtelne wprowadzenie nastroju grozy — ustąpiło innym twórczym elementom, a na plan pierwszy wysunęło się technikę.

A więc najbardziej nieprawdopodobne ujęcia logiczne znalazły miejsca na ekranie: „Świat zaginiony", potem „King Kongi" — dziś Frankensteiny i „niewidzialni" — duszą się od tricków filmowych. Mechanizacja zabija polot, tłumi potoczystość akcji, nagina do kompozycji trickowca. Reżyser zaś rad, że w jego filmie znajdą się „najdziwniejsze, nieodgadnione przez fachowców sztuczki" — udziela im miejsca w setkach metrów taśmy (np. Schoedsack).

Z ostatnio widzianych niesamowitych filmów, jedynie dwa zasługują na wyróżnienie za artystyczne wykonanie, są to: „Śmierć odpoczywa" i „Z śmiercią w zawody".

Na lewo: Fenomenalna maska Karloffa w filmie „Mumja".



Fay Wray w „Doktorze X".

W tych filmach widać pewną dozę kultury, zarówno w grze, jak i w fabularnem potraktowaniu epizodów, mających budzić grozę.

Filmy z Karloffem są niemiłe. Maska jego jest ohydna, gra — niesympatyczna, a treść jego filmów zawsze naciągnięta — dramaty nieinteresujące. Jest za to „mrożące krew" w żyłach zgrywanie się, nastawienie całego dramatu na jeden konkursowy moment.

Artystycznie, kulturalnie — obecne filmy niesamowite stoją o wiele, wiele niżej, niż dawniej oglądane, a dotąd niezapomniane,

z Bernardem Goetzke, Kraussem czy Veidtem....

A szkoda!

Pierwiastek emocjonalny w filmach tego rodzaju należy do kategorji „niespodziewankowych". Specjalnie dobrane rekwizyty, charakteryzacja, nastawienie bohaterów: lękliwe, wrażliwe i często bezradne, czasami znowu wesołe.

W licznych zmianach nastroju (z wesołego na ponury i straszny) opierają się motywy ostatnich filmów.

Jest jeszcze jedna kategorja filmów — budzących przerażenie swojem tłem, a nastrój ten zmienia się nawet w obrzydzenie. Dość przypomnieć takie filmy jak „Wyspa Doktora Moreau", lub „Hrabia Zarow". W tym ostatnim przewodnią nicią fabularną jest.... polowanie na człowieka. Ostatnie metry decydują, czy złapie hrabia Zarow swą ofiarę i utsrzeli ją z łuku, czy też ona się uratuje. A ponieważ filmy tworzywa amerykańskiego muszą mieć swój happyand, przeto kończy się wszystko tak, jak widz sobie życzy.

„Szlachetność" zwycięża...

Do niesamowitych zaliczyć musimy filmy Conrada Veidta, jak „Bracia Schellenberg" i „Student z Pragi". Również i „Metropolis" wraz z „Podróżą na księżyc", wszystkie produkcji niemieckiej. Dwa ostatnie należą do grupy wystawowo-technicznych. W nich to scenarzysta ma raj. Reżyser nagina pomysły do coraz większych możliwości technicznych. A więc makiety, zdjęcia nakładane — ogromna pieczołowita praca techniczno-laboratoryjna. Tyczy się to specjalnie nowych filmów dźwiękowych — „King Konga" i „Niewidzialnego człowieka".

Okazuje się, że film ma możliwości, jakich nie ma i nie będzie miała żadna z dziedzin sztuki. Czasami „dokooptowuje" się do pomysłu technicznego — całą gamę banalnych, nieraz absurdalnych scen, byle móc pokazać „clou" obrazu. Oczywiście cierpi na tem montaż.

Możemy zaliczyć do kategorji powyższej produkowane ostatnio w fenomenalnej ilości — filmy dżunglowe. Faktycznie — i tam wartość całego filmu streszcza się w mniej, lub więcej udanych momentach „zwierzęcych". I też budzą one dreszcze emocji.

Wynika stąd prosty wniosek: film niesamowity, jako mogący szukać tematu nawet w abstrakcjach — jest siłą rzeczy rozstrzelony w pomysłach, niemniej jednak nie rozwinął się należycie, nie sięgnął do bogatej skarbnicy ludzkiego dowcipu, a zasklepił się w skąpych ramach przyzwyczajeń widza, albowiem twórcy filmu nie lubią ryzyka. I to się na nich mści.

W filmach sensacyjnych, fantastycznych, groźnych, ważną rolę odgrywa... gra. Przerażone, obłędne oczy, skurcze mięśni twarzy, nieoczekiwane ruchy — to akcesorja pierwszorzędnego znaczenia.

Aby sobie unaocznić rolę aktorów w tego rodzaju filmach — przypomnijmy sobie najlepsze kreacje.

Niezapomniany jest Lon Chaney. Jego „Dzwonnik", „Człowiek bez rąk", „Upiór w operze" — mogą przejść do archiwum. Następnie — Conrad Veidt. Pamiętamy go ze „Studenta z Pragi", z „Braci Szellenberg", z „Człowieka śmiechu", Jon Barrymore'a w „Doktorze Jekyll", a następnie Fredica Marcha w tej samej roli i w „Śmierci odpoczywającej" i dawno już niewidzianego Bernarda Goetzke („Doktor Mabuze").

To są aktorzy pierwszej klasy. Dużo pośledniejsi to — Borys Karloff, raczej przerażający swoim wyglądem, ale grający sztywno, blado i Bela Lugori etc.

Z kobiet — wyróżniła się Laura la Plante „Karuzela udręczeń"), Betty Compson, Brygida Helm i Fay Wray.

Oczywiście, że aktorów, grających w wielu filmach, możnaby również wymienić, gdyż niektórzy role swoje odegrali całkiem poprawnie, ale wtedy... statystyka byłaby troche ponura. Należałoby bowiem wziąć pod uwagę tych wszystkich, co grali rozmaite upiorne postacie, kaleki z czasów wojny, nieszczęśliwych, upośledzonych. Naturalnie nie zależy nam na wymienianiu aktorów, posiadających doskonałe maski, lecz na tych, którzy swą grą umacniali wrażenie w ekspresji specjalnego rodzaju.

Aktor ogranicza się często do rekwizytu: światło, padające na jego twarz, niezwykła sytuacja (miało to naprzykład miejsce z Ronaldem Colmanem, grającym zwykle role amantów, w filmie „Ze śmiercią w zawody"), widz — przejęty niezwykłą sytuacją, z pobudzoną ciekawością — obserwuje oczy. Bardzo wyraziste oczy — ma specjalista od filmów niesamowitych — Warner Oland. Już jego ukazanie się na ekranie — budzi wrażenie niepokoju.

Reszta zależy od reżysera. Musi umieć utrzymać nastrój, łagodnie wznosić jego napięcie, nie nadużywać aktorów, gdyż w tym wypadku nie tak trudno o zgrywanie się, budzące znudzenie, zmęczenie. Jednym z najwybitniejszych reżyserów jest Tod Browning, który wykonał większość filmów z Lon Chaneyem. Sławny był również nieżyjący — Paweł Leni, twórca „Chińskiej papugi".

Niewykorzystany był kiedyś Laughton, („Wyspa Doktora Moreau"), aktor o cudownej grze oczu.

Szkoda jednak najbardziej oczu, co zgasły — oczu Lon Chaney'a.

Trudno powiedzieć, jaki naród przoduje w wykonaniu filmów niesamowitych. Doskonałe były dawne niemieckie, potem ostatnie filmy Langa („Morderca"), Amerykanie mieli wiele, niektóre były naprawdę świetne i artystyczne, a poza tem, biorąc pod uwagę produkcję dźwiękową — stworzyli specjalny rodzaj — mieszanych, t. j. humor odpowiednio spleciony z grozą. Naturalnie, że nie jest to nowość, bo już z siedem lat temu widzieliśmy taki film („Niesamowity pociąg"), ale dziś, gdy jest możliwość dostosowania dialogu — sytuacje nabierają soczystości i mocy.

Francuzi również mieli w swej produkcji perełki (Gance), niezawsze jednak można je było podciągnąć pod klasyfikację, jaką publiczność ustaliła dla obrazów „niesamowitych".

Można dlatego — nie wyliczać „zasług" innych państw, a przypomnieć sobie, czy Polska nie wykonała takiego filmu? Owszem, wykonała, i był całkiem niezły. Nosił tytuł: „Kochanka Szamoty" z Igo Symem i Heleną Makowską, reżyserji Trystana.

Zrobiony według powieści Grabińskiego — miał zalety nielicznych filmów polskich, wykonanych z myślą o konstrukcji całości, jednocześnie miał poważne wady, których wtedy absolutnie nie można było uniknąć — kiepskie światło i słabe rekwizyty. Zespół zaś też nie był szczęśliwie dobrany. Sym, stanowczo za lalkowaty — przerażał się w taki sposób, żeby podobać się paniom.

A film ten dawał reżyserowi możliwość wydobycia maksimum nastroju, gdyż był krótki, przez co łatwo było osiągnąć wrażenie, utrzymać przez chwilę — i... skończyć. No, ale obwiniać i krytykować dzisiaj twórcę filmu, robionego dziesięć lat temu, to trochę... spóźnione!

Stanisław Ostrzycki.



Scena z niesamowitego filmu „Doktor X".

O KAY! LITTLE GIRLS!

Młodziutkie tancerki wzbudzają podziw swemi produkcjami wśród rzeszy rówieśniczek... (Fot. Scherl)



Piękność większości kobiet zależy od odpowiedniego ubierania się" — powiedziała nam słynna gwiazda ekranu, Joan Bennet. „Nawet ładna osoba nie zrobi na nas żadnego wrażenia, jeżeli ubiór jej będzie niechlujny; z drugiej strony jakże często zwracamy uwagę nawet na brzydkie kobiety, ale zato ubrane z wielkim szykiem".

Oto maksyma Joan Bennet, którą odwiedziłam rankiem w jej willi w Hollywood. Blond loki artystki były starannie zaczesane, a jej uroczy negliż z niebieskiej satyny odznaczał się doskonałym krojem. Miała w ręku żorżetową chusteczkę do nosa, lekko perfumowaną, a sandały również z niebieskiej satyny odsłaniały palce jej stóp, których paznogcie były czerwono lakierowane.

Noszenie czystych kołnierzyków przy bluzkach i dobrze wypranych rękawiczek, to jeszcze nie wszystko!

— A więc od czego jeszcze zależy piękność kobiety? — zapytałam i z zaciekawieniem czekałam, co odpowie kobieta, mająca do swej dyspozycji masażystki, fryzjerki i manicurzystki — takim kobietom, które tych wygód nie posiadają.

— Zacznijmy może od cery — powiedziała Joan Bennet. — Jeżeli spostrzegamy, że nasz wygląd ulega zmianom na gorsze, musimy coś przeciwko temu przedsięwziąć. Moim ulubionym środkiem jest mieszanina zwykłej soli z... wodą. Należy pomieszać pół szklanki soli i pół szklanki wody, a kiedy sól się rozpuści, natrzeć tym rozczynem twarz zapomocą waty. Następnie skóra musi schnąć przez pięć minut, a potem należy pokryć twarz zwykłą... bitą śmietanką. Wystarczy mniej więcej łyżeczka. Wkońcu po minucie lub dwóch, trzeba zmyć twarz przestałą wodą. Oto znakomity środek na tłustą cerę.

— A co z włosami?

— Nie widziano jeszcze — powiedziała Joan Bennet — prawdziwie pięknej kobiety z tłustemi włosami. I po chwili namysłu podała mi receptę na swój własny szampon.

— Wszystkie moje kosmetyki przyrządzam sama. Do rozpuszczonego przetłuszczonego mydła dodaję łyżeczkę oliwy i mieszam obydwa składniki. Następnie nacieram głowę tym rozczynem i potem zmywam dokładnie dwa albo trzy razy włosy, by nie zostały żadne ślady szamponu. Zazwyczaj dodaję nieco soku cytrynowego do wody, którą ostatnio spłukuję włosy. Mój szampon nadaje im miękkość i połysk.

* * *

Nadzwyczaj oryginalnemi są zapatrywania Gaby Morlay, w chwili obecnej bezsprzecznie najsłynniejszej artystki dramatycznej Francji. Jest ona brunetką — nie ugięła się przed pędem mody noszenia blond włosów — i należy to podnieść z uznaniem, że potrafiła mimo dzisiejszych wymogów zachować swą oryginalną indywidualność.

Cera matowo-biała uwydatnia szczególnie wyrazistość jej oczów, w których jakgdyby tlił się płomień tajemniczości, niepokoju, a przedewszystkiem natury uduchowionej.

Gaby Morlay cechuje skromność, którą spotyka się rzadko i tylko czasami w połączeniu z prawdziwym talentem u ludzi, nie myślących nigdy o sławie, która ich otacza.

— Jak dbam o moją piękność? — zastanawia się artystka. — Właściwie wcale nie muszę się troszczyć o mą urodę, ponieważ codziennie wierne mi zwierciadło przekonuje mnie, iż jestem... brzydką.. Zupełnie zgadzam się z „opinją" tego najgroźniejszego „krytyka".

Co się tyczy pielęgnowania twarzy postępuję podobnie, jak większość kobiet. Zmywam ją mlekiem, a potem nakładam trochę pudru. Jest to raczej wymóg higjeny, niż chęć kokieterji. Następnie trochę różu na wargi — i to wszystko. Powtarzam pani: to i tak zadużo, jak dla mnie.



Gaby Morley.

PANI MOŻE BYĆ PIĘKNĄ I CZARUJĄCĄ, JEŻELI...

Wywiady „Asa" z gwiazdami ekranu i sceny.



Joan Bennett.

— Czy używanie szminek teatralnych i kinowych nie niszczy na dłuższą metę wyglądu cery?

— Nie sądzę, by szminki teatralne wpływały ujemnie na cerę; przecież aktorki zachowują młody wygląd o wiele dłużej, niż inne kobiety. W studjach filmowych wchodzi w grę jeszcze inny element: silne światło jupiterów, które pozatem, że męczy wzrok i może spowodować zmarszczki pod oczami, rozwija wielką ciepłotę, która przenika pory skóry. W ten sposób szminka roztopiona pod wpływem ciepła wsiąka w skórę i jedynie używanie tłustych kremów może zapobiec zniszczeniu cery. Sport ma wielki wpływ na urodę i jeżeli zajęcia moje pozwalają mi na to, poświęcam część dnia bądź to konnej jeździe, bądź pływaniu, bądź znowu tenisowi lub golfowi. Codziennie rano gimnastykuję się przez kwadrans, wychodząc z założenia, że regularne, a przedewszystkiem racjonalne uprawianie sportu jest równoznaczne z podpisaniem kontraktu z życiem w pełni zdrowia.

Pozatem każda kobieta, nawet gdyby była bardzo brzydką, może tylko zyskać przez wytrenowanie ciała i poprawienie swej figury, a więc tego, czego natura jej nie dała od urodzenia.

— Czy zbyt wielka ruchliwość nie szkodzi urodzie kobiety?

— Zależy to przedewszystkiem od rodzaju zajęcia. Życie nie polega na tem, by ciągle się podniecać. Ale oczy i ogólny wygląd kobiety, która pracuje, zyskują dużo charmu. Nie widzimy tego natomiast często u t. zw. „kobiet światowych", które są stale w ruchu, a właściwie nic nie robią.

— Czy kobieta może się złościć, nie wyglądając przytem okropnie?

— To zależy od tego, przeciw komu zwraca się jej złość. Kobieta, gniewająca się na mężczyznę, którego kocha, staje się bardzo często dziwnie piękną... emanuje z niej jakiś tajemniczy czar, powodujący, iż mężczyzna poddaje się jej wpływowi i... szybko kończy dyskusję.

Ale kobieta, która się rzuca na inną kobietę, staje się zazwyczaj bardzo brzydką. Przeważnie motywem jej gniewu jest zazdrość, która ma zawsze w sobie coś nieprzyjemnego i odpychającego.

Na tych wielce pouczających sentencjach, wygłoszonych przez znakomitą artystkę w tonie więcej, niż przekonywującym, skończyła się ta niezwykle interesująca rozmowa.

W następnych numerach „Asa" postaram się zaznajomić Czytelników z opinjami innych, niemniej sławnych gwiazd ekranu i sceny. **Wirginja Vincent.**

Dzieci szczęścia

J. KESSEL
POWIEŚĆ
ILUSTR. A. ŻMUDA.

I.

W ów dzień karnawałowy, o którym europejska dzielnica i arabskie uliczki miasta zachowały po dziś dzień wspomnienie, kapitan Ordi, dowódca eskadry lotniczej, detaszowanej w Casablance, znajdował się na lotnisku. Nie mógł oddalić się z terenu, póki nie usiądą na niem aparaty hiszpańskich gości, miał bowiem rozkaz powitać pilotów i powieźć ich na uroczystość do miasta.

Popołudnie lutowego dnia chyliło się ku wieczorowi. Szerokie wstęgi cienia kładły się już u stóp zabudowań na lotnisku. Mimo to, ciepłe podmuchy, które wiatr niósł z południa, snuły się leniwo ponad skąpą i niską trawą terenu. W opustoszałych hangarach małe, metalowe potwory śniły, jakby w zamyśleniu, twarde, zimne sny, w bezruchu oniemiałych swych śmig. Cisza zupełna zalegała warsztaty, zazwyczaj tak głośne od stukotu młotów, zgrzytu pilników i chrapliwego oddechu dmuchawek.

Kapitan Ordi rozkoszował się tym dziwnym spokojem; cieszyło go, że mógł dać ludziom i maszynom skrzydlatym, podlegającym jego rozkazom, tę chwilę wytchnienia. Podczas wojny bowiem jeszcze nauczył się miłować wszystko, co stanowiło materjał pięknej eskadry lotniczej — i uczucie to pielęgnował również w czasach pokojowych.

Kiedy przechadzał się tak dla zabicia czasu, tam i spowrotem, wzdłuż budynków, stojących rzedem na brzegu lotniska, wzrok jego ślizgał się to po wiatrowskazie, który leniwy powiew wieczorny wydymał niedbale — to po gładkiej przestrzeni nieba, o miękkich, ciepłych tonach — to po sylwetce jedynego samolotu, na wszelki wypadek stojącego w pogotowiu, na lotnisku. Przy aparacie, plecami opierając się o jego kadłub, siedziało, arabskim obyczajem na własnych piętach, trzech młodych ludzi. Byli to: sierżant-pilot, kapral-radjotelegrafista i mechanik, mający dnia tego służbę.

Kapitan Ordi spojrzał na zegarek i skierował się ku grupie żołnierzy. Wszyscy trzej zerwali się tym samym ruchem, pełnym uszanowania, lecz swobodnym zarazem — ruchem, który cieszył zawsze kapitana, ilekroć zauważył go u ludzi, których obowiązkiem było słuchać jego rozkazów.

— Powinniby już być tutaj — co, Vivant? — zapytał sierżanta-pilota.

— Jestem tego samego zdania, panie kapitanie —— odpowiedział młody człowiek, głosem bezbarwnym i tonem do przesady służbistym.

Ordi zauważył to, jak zauważył również niezwykłą sztywność postawy i oblicza — które zazwyczaj widywał tak niezmiernie żywe i ruchliwe. Nastąpiła krótka chwila milczenia, które wypełniał jedynie hałas, jaki czyniły klaksony autokarów i aut, wiozących gości z okolicy, a nawet aż z pod czerwonego Marakeszu, na uroczystość otwarcia karnawału.

— Dziękuję, Vivant, — rzekł kapitan.

Nie spiesząc się, zawrócił i dopiero uszedłszy kilka kroków, uśmiechnął się. Tamci zaś usiedli, jak poprzednio, na ziemi. Ordi usiadł tedy na bidonie w pewnem oddaleniu od grupki żołnierzy, żeby bliskością swoją nie krępować ich rozmowy i spokojnie zapalił fajkę. Kapitan Ordi posiadał cierpliwość, właściwą starym, wytrawnym pilotom, których losy i koleje kształtują się wedle kaprysów żywiołów.

„Sąsiadom naszym nie spieszno jakoś na tę karnawałową wycieczkę — myślał pobłażliwie. — Porucznikowi Jasarte to nie nowina... bratanek minisra... Kazano traktować go z nadzwyczajnemi honorami... Nieznośny, mówią... A no, zobaczymy..."

Myśli jego urwały się na tem. Ciepłe podmuchy wiatru — olbrzymi płaski obszar lotniska, porznięty miejscami śladami kół — dym fajki i smak jej w ustach, miay jakąś obezwładniającą moc i pogrążyły kapitana w odrętwienie.

Pociągając wolno z cybuszka, skończył właśnie fajkę, kiedy na skraju lotniska ukazała się młoda kobieta. Po harmonijnej swobodzie jej ruchów — po wysoko osadzonym, kształtnym biuście — po nieobciętych, jasnych włosach i po sukni o żywych kolorach, kapitan poznał w niej natychmiast Robertę Elven. Była to żona jednego z najruchliwszych aferzystów w Marokku. Ubiegano się o jej towarzystwo i zarazem obmawiano ją na wyścigi.

Wytrzepawszy popiół z fajki, Ordi podniósł się i poszedł na jej spotkanie.

— Przybywa pani, by pomóc mi przyjąć hiszpańskich gości? — zapytał wesoło.

Roberta Elven patrzyła na niego przez chwilę bez słowa i poruszyła przecząco głową.

— Nie rozumiem, kapitanie, dlaczego ludzie nie są nigdy szczerzy — powiedziała wreszcie. — Wie pan doskonale, że przychodzę tu do Ivana.

— Czekałem tylko, żeby pani p i e r w s z a zaczęła mówić o nim...

— Cóż za nonsens! Wszyscy przecież wiedzą o naszej przyjaźni.

Patrzyła prosto w twarz kapitana; w spojrzeniu jej jasno-orzechowych oczu pełno było słodyczy i spokoju. Ordi raz jeszcze zapytał się w duchu, czy ta kobieta udawała tak doskonale lekkomyślną niefrasobliwość — czy też nosiła ją doprawdy, jak najskuteczniejszy z pancerzy na duszy? Była kochanką sierżanta Vivanta — nikt w eskadrze nie miał co do tego najmniejszej wątpliwości. Sam sierżant-pilot Vivant z prostotą przyznawał się do tego.

— Muszę przecież dotrzymać mu towarzystwa — mówiła dalej. — Całe miasto bawi się dziś, a jemu, który tak lubi się bawić, każe pan siedzieć tutaj!

Kapitan roześmiał się i rzekł:

— Dąsa się na mnie — jużem to zauważył.

I zaraz spoważniał:

— Lubię go za jego gest, za jego brawurę — i nawet, za te głupstwa, które strzela. Nikt tutaj nie dorówna mu w pilotowaniu — nawet tacy, którzy mają za sobą dziesięć razy więcej godzin w powietrzu, niż on. — Ale służba wypadła dziś na niego.

Roberta chciała coś mówić, lecz kapitan nie dopuścił jej do słowa i nachyliwszy ku niej swą długą, kościstą twarz, dodał półgłosem:

— Byłbym może zmiękł — ale się bałem, że karnawał odrazu zamocno uderzy mu do głowy... Nie chciałbym być zmuszonym karać go potem...

— Byłabym go pilnowała...

— W każdym razie nie zasługuje już teraz, żeby go żałowano, skoro pani wyrzekła się zabawy dla niego.

— O, zabawy w Casa! — westchnęła. — Od pięciu lat już muszę je znosić...

Urwała, bo spostrzegła, że kapitan nie słucha jej prawie. Stał z wyciągniętą szyją, ze zmarszczonem czołem i oczy-

ma śledził coś na horyzoncie. Roberta poszła za jego spojrzeniem, lecz nie zobaczyła nic. Kapitan Ordi, sam, nie byłby mógł twierdzić jeszcze z wszelką pewnością, że tam, w oddali, na niebie zamajaczyły dwa maleńkie cienie i że uszy jego pochwyciły jakiś szmer — tak leciutki, że można go było wziąć za odległe brzęczenie owadu. Lecz tyle razy już wyczekiwał z trwogą i udręką w duszy — czy to tu, w Maroku, czy w Syrji — szczęśliwego powrotu towarzyszy z niebezpiecznego lotu, iż zrodził się w nim pewien zmysł specjalny, który nie zawodził go nigdy. Niedługo też dwa samoloty odcięły się na niebieskim tle i zabrzmiała grzmiąca pieśń motorów.

Odrazu pejzaż cały nabrał cech, właściwych swemu przeznaczeniu — swój charakter areny dla skrzydlatych wyczynów.

— Vivant — rzucił rozkazująco kapitan, skoro tylko rozpoznał, po znakach na skrzydłach samolotów, hiszpańskich gości — powieziesz mnie na ich spotkanie.

Zdawałoby się, że kapitan wyrzekł czarodziejskie słowo. Nie było już śladu złego humoru u sierżanta-pilota. Lekko-skośne, jak u Chińczyka oczy, zajaśniały podnieceniem, jakiem błyszczą źrenice rozbawionych dzieci. W jednej chwili, każdy rys, każdy muskuł zagrał w nim ruchem i usta zakrzyknęły:

— To rozumiem, panie kapitanie!

Jak akrobata, w dwóch skokach znalazł się w kabinie maszyny i napędzał już mechanika:

— Puszczaj — Ludwik — prędko!

Wśród rodzącego się warczenia śmigi, kapitan krzyknął — lecz bez wielkiego przekonania:

— Tylko nie za dużo fantazji!

Vivant uczynił ruch, mający wyrażać posłuch i poddanie. Lecz w tej samej chwili, nie spróbowawszy nawet, jak motor pracuje, wystartował po warjacku świecą, utrzymał się na samej granicy równowagi, wykonał wiraż pod kątem 90-ciu stopni, wprowadził na chwilę maszynę w korkociąg — i prześlizgnął się kołami tuż ponad górnym płatem pierwszego nadlatującego samolotu. Poczem zrównał się z nim tak, że skrzydłami oba bliźniacze ptaki stykały się prawie. Leciał tak, na jednej linji z hiszpańskim gościem i wylądował z nim równocześnie — w oddaleniu zaledwie kilku metrów.

Oficer hiszpański osunął się z pudła na ziemię i wyrzekł z silnym akcentem cudzoziemskim:

— Piękny wyczyn sportowy! — poczem przedstawił się: — Miguel Hernandez.

Ogłuszający huk motoru porwał odpowiedź kapitana: to drugi samolot hiszpański przelatywał tuż nad ich głowami. Zrobił pętlę, raz i drugi i jeszcze raz — i wychodząc z ostatniej, usiadł lekko na terenie.

Porucznik Hernandez, który z widoczną trwogą śledził te ewolucje, odezwał się, mocno zdenerwowany:

— Nie miał prawa — doprawdy potem, co...

Urwał, wzruszył ramionami i pobiegł ku samolotowi, który już toczył się po ziemi w kierunku hangarów. W tej samej chwili ponad ścianą pudła ukazała się głowa młodzieniaszka w skórzanym kasku. Twarz odcinała się ostro i miała wyraz zaciętej stanowczości, lecz bladość, przebijająca pod ogorzałą na afrykańskiem słońcu cerą i niezwykła ostrożność, z jaką Ramon de Jasarte schodził z maszyny, wydały się podejrzane kapitanowi Ordi. Miał nawet wrażenie, że towarzysz jego, jakby porwał się, żeby mu pomóc przy wysiadaniu i że zatrzymał się dopiero na skuteke wściekłego spojrzenia, jakie mu rzucił młody człowiek.

— O, bratanek ministra nie czekał widać na wino, które u nas wypije...— mruknął kapitan.

A Ramon de Jasarte, rozpinając swój wspaniały, biały kombinezon, mówił:

— Proszę nam darować spóźnienie. Mieliśmy defekt w drodze. I dzięki zarazem za wspaniałą lekcję pilotowania, jaką pan nam dał, kapitanie.

Mówił bardzo czystą francuszczyzną; jedynie trochę urywany, szybki sposób mówienia i silnie wybijane akcenty, zdradzały jego hiszpańskie pochodzenie.

Ordi sprostował uprzejmie:

— Nie ja — sierżant.

— Ivan Vivant — wyrecytował, salutując sierżant-pilot.

Oczy jego napotkały oczy Jasarte. Było to jakby zderzenie szybkie i ostre — a składały się nań wzajemne uznanie, duma i dziecinne wyzwanie na próbę sił.

— Gratuluję — rzekł Ramon.

— To mnie raczej wypada gratulować panu, poruczniku.

— Wszystko jedno — przerwał tę wymianę grzeczności kapitan — tydzień aresztu nie zaszkodziłoby ci, Vivant... — Ale nie codzień mamy takie święto, jak dziś.

— Tak, święto! — powtórzył jak echo sierżant Vivant, i twarz jego zamarła. Wydymając usta, jak nadąsany dzieciak, dodał: — Pożegnam panów — mam służbę dzisieaj...

Ordi przypatrywał się obu młodym ludziom. Na twarzy francuskiego pilota malowało się naiwne, rozbrajająco szczere, cierpienie; na twarzy hiszpańskiego lotnika, na jego gładkiem czole, widniało pogodne zadowolenie. Lecz obie tchnęły tą samą młodzieńczą brawurą — i ona to czyniła podobnemi do siebie oba oblicza, tak różne klimatem i krwią, które je wydały.

„Poznał swój swego.. Coby to było, gdyby tak puścić razem na karnawał te dwa młode koguty"... — pomyślał kapitan i w ustach poczuł dziwny smak — jakby gorycz popiołu. W tej chwili chętnie byłby zwolnił ze służby Vivanta, — lecz nie było to już możliwem.

— Proszę najpierw iść przywitać panią Elven — mruknął.

— Ach, to prawda! Przepraszam, panie kapitanie.

Ivan zasalutował i prawie już pocieszony, zaczął biec szybko ku skrajowi lotniska. Po drodze natknął się na Hernandeza, wracającego od strony hangaru. Wydało mu się to nagle niżej godności własnej pędzić tak, jak warjat; zatrzymał się i począł iść z nonszalancją, jakby mu się nie spieszyło wcale.

— Czy on jest pochodzenia rosyjskiego? — zapytał Jasarte.

— Cóż znowu! — Ach, spowodu imienia... Na imię mu właściwie Jan, ale pewna Rosyjanka, bardzo w nim zakochana, ochrzciła go Ivanem... Vivant był olśniony tem imieniem... Ivan Vivant! — Rozumie pan, że nie mógł puścić mimo takiej okazji...

Ordi zaśmiał się i począł prowadzić oficerów hiszpańskich do czekającego auta.

Przedmieścia Casablanki były jakby wymarłe. Tu i ówdzie tylko jakiś palacz opium siedział w kuczki na progu niskiego sklepiku, jakby w odrętwieniu i obojętny na wszystko. Czasem spotykało się jakiegoś ślepca, wypatrującego bielma oczu w kierunku, skąd dochodziły zmieszane odgłosy zabawy i życia, skoncentrowanego w śródmieściu. Wszystko zdawało się, jakby zawieszone na tej sieci, utkanej z odległego pomruku głosow ludzkich i brzęczenia instrumentów muzycznych.

— Czy zdążymy jeszcze na początek, panie kapitanie? — zapytał Jasarte, a w głosie jego brzmiał żywy niepokój.

Kapitan zauważył, że za najmniejszym wstrząsem, za każdem naciśnięciem hamulca, twarz młodego człowieka kurczyła się, jakby z bólu. W miarę, jak zbliżano się do centrum miasta i atmosfera zabawy poczęła opływać ich zewsząd, policzki Ramona, dotąd szare, stawały się coraz bardziej płonące.

— Ramon, uspokój się! — szepnął proszącο jego towarzysz i obaj obcy panowie zamienili ze sobą kilka słów po hiszpańsku, których sensu kapitan Ordi nie zdołał uchwycić.

(ciąg dalszy nastąpi)



Ordi usiadł w pewnym oddaleniu od grupki żołnierzy...

KOKARDY ŻABOTY KRAWATKI



Przy taftowej sukni w kratkę czarna kokarda przy kołnierzyku jest bardzo twarzowa.



Sznur czarno-biały zakończony frendzlą stanowi ładne wiązanie kołnierzyka.

ZROBIĘ TO SAMA...

KAMIZELKA SZNUROWANA I DO NIEJ SPÓDNICZKA.

Materjał: wełna „Trójkąta w Kole", „Wulkan", albo „Luksusowa", druty nr. 3. Na modelu kamizelka jest w kolorze czerwonym, sznur granatowy. Kamizelka taka jest bardzo praktycznem uzupełnieniem kostjumu, a także będzie się doskonale nadawała w zimie na narty.

Wykonujemy kamizelkę w oddzielnych częściach według kroju, który jest podany w wymiarach odpowiednich dla osoby o obwodzie klatki piersiowej wynoszącym 96 cm.

Zaczynamy robotę od dołu przodu i pleców, na ilość oczek podzielną przez 7 plus oczka początkowe (na modelu zaczęto przody po 72, plecy na 135 oczek). Przerabiamy teraz ściegiem w skośną kratę, jak następuje: Rzędy 1—6 przerabiamy rzędy prawostronne wprost, powrotne nawywrót tak, aby oczka prawe znajdowały się po prawej stronie roboty (nazywa się to przerabianiem po prawej stronie wprost). Rząd 7: (prawostronny) oczko początkowe, poczem naprzemian przerabiamy 7 oczek nawywrót, 2 oczka zdejmujemy nawywrót, nitka pozostaje poza oczkami, 3 oczka przerabiamy nawywrót, 2 oczka zdejmujemy nawywrót i powtarzamy od początku (oczko początkowe znajduje się tylko na początku i na końcu rzędu).

Rząd 8: (powrotny) oczka prawe przerabiamy wprost, zdjęte w poprzednim rzędzie zdejmujemy nawywrót, przyczem nitkę przekładamy przed oczka tak, aby zdjęte oczka znajdowały się stale po prawej stronie roboty. Rząd 9: (prawostronny) jak 7 rząd. Rząd 10: (powrotny) oczko początkowe, 7 oczek prawych przerabiamy wprost, nabieramy na drut pomocniczy 2 zdjęte poprzednio oczka, oraz 3 oczka prawe, przekładamy drut pomocniczy na wierzch roboty (to znaczy na jej lewą stronę) przerabiamy nawywrót 2 zdjęte poprzednio oczka, 3 prawe oczka przekładamy z drutu pomocniczego na lewy drut i przerabiamy je wprost, przełożywszy poprzednio drut pomocniczy znowu na spód roboty, wreszcie przerabiamy nawywrót pozostałe na drucie pomocniczym 2 oczka.

Rząd 11: (prawostronny) oczko początkowe, poczem naprzemian, jak w rzędzie 7-ym. Rząd 12: (powrotny), jak 8 rząd. Rzędy 13—18, jak 1—6. Rząd 19: jak 7, tylko przestawiamy teraz wzór tak, aby 7 oczek lewych znajdowało się nad grupą z 2 oczek zdjętych. 3 lewych, 2 zdjętych, a więc zaczynamy po oczku początkowem od 2 oczek zdjętych, 3 lewych, 2 zdjętych. Rzędy 20—24, jak 8—12 rzędu. W dalszym ciągu roboty powtarzamy rzędy od 1—24 rzędu.

Ze względu na to, że ścieg ten jest dosyć trudny i łatwo go pomylić, lepiej jest wykonywać wszystkie części równo t. zn. nie dodawać z boków, choć w ten sposób wykonana kamizelka znacznie lepiej leży. Dlatego bardziej wprawnym Czytelniczkom radzimy zacząć przody i plecy na odpowiednio mniejszą ilość oczek, niż podano, a następnie wyrównać tę różnicę, dodając po 1 oczku co 6 rzędów z bocznych brzegów roboty.

Dodawanie to należy zacząć, gdy robota ma już około 4 cm wysokości. Po osiągnięciu pachy, zaczynamy formowanie wycięcia na ręce W tym celu zakończamy pewną ilość oczek (6), poczem tak długo ujmujemy po jednem oczku na początku i na końcu rzędów z tego brzegu roboty, póki wycięcie nie będzie dostatecznie duże.

Teraz z przedniego brzegu przodów ujmujemy oczka na wycięcie przy szyi, a mianowicie po 1-em oczku na początku każdego rzędu z tego brzegu roboty. Gdy pozostanie nam tylko tyle oczek, ile trzeba na szerokość ramienia, przerabiamy dalej równo bez ujmowania do wysokości ramienia. W plecach nie robimy wycięcia przy szyi, tylko przerabiamy je równo do wysokości ramienia.

Po zeszyciu wszystkich części, obrabiamy brzegi kamizelki rzędem czerwonych półsłupków, poczem przeciągamy przez oba przody gruby sznur, spleciony z granatowej wełny. Przeciągamy przez skrzyżowania oczek, jak widać na załączonej rycinie.

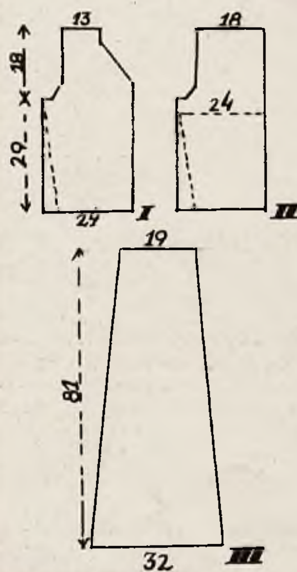
Celem ułatwienia roboty, należy przed zaczęciem roboty wyciąć z papieru w wielkości naturalnej załączony obok schemat kroju.



Na prawo: Spodniczka i kamizelka, wykonane na drutach: I przód, II połowa pleców III część spodniczki.

JAK ZROBIMY SPODNICZKĘ NA DRUTACH.

Materjał: wełna „Luksusowa", albo „Sportowa", „Trójkąta w Kole". Druty nr. 3. Na modelu wełna jest w kolorze granatowym, to znaczy w kolorze sznura przy kamizelce.



Schemat kroju kamizelki i spodniczki.

Wykonujemy spódniczkę w 4-ch jednakowych częściach według schematu kroju. Każdą część zaczynamy od dołu (na modelu na 84 oczka) i przerabiamy tam i z powrotem następującym ściegiem: Rzędy po prawej stronie roboty przerabiamy gładko, — wprost. W rzędach po lewej stronie roboty przerabiamy naprzemian po 4 oczka wprost, 4 nawywrót. Pasy z oczek przerabianych po lewej stronie wprost, przesuwamy w każdym rzędzie o 1 oczko w prawo, albo w lewo, a mianowicie w dwu częściach spódniczki w prawo, w dwu w lewo. Powstają w ten sposób skośne pasy, jak widać na rycinie.

Co 10 rzędów ujmujemy po jednem oczku z obu brzegów roboty. W ten sposób osiągamy lekko kloszoną formę spódniczki. U samej góry przerabiamy na wysokość 5 cm bez ujmowania i zakończamy oczka.

Po ukończeniu wszystkich części zeszywamy je od lewej strony, uważając, aby pasy wypadły tak, jak na rycinie. Na lewym boku pozostawiamy zapięcie, które zaopatrujemy w listewkę z 4-ch rzędów półsłupków. W pasie wszywamy spódniczkę w gurt i zapinamy ją na haftki i zastrzaski.

Tl.



Kamizelka na drutach wedle opisu nin. artykułu.



Wzór ściegu, do wykonania kamizelki.



AS Kupon konkursu na „Najpiękniejszy Uśmiech"

Życie
towarzyskie i artystyczne

Z katowickiej wystawy.



Studjum dekoracyjne asystenta krakowskiej Akademji Sztuk Pięknych, Pawła Dadleza, ostatnio wystawione na wystawie „Sztuki" w Katowicach, spotkało się z uznaniem zarówno publiczności, jak i fachowej krytyki.

Fot. „As".

Kto to jest?



Na prawo: Mało kto zgadnie, że uwidoczniona na fotografji „murzynka", to nie kto inny, tylko Irena Sobołtówna, świetna partnerka baletmistrza Wojnara, która z zapałem zmieniała barwę swej skóry na półwyspie Helskim.

Fot. „As."

Deszcz konfetti...



W Londynie odbył się ostatnio ślub znakomitego muzyka amerykańskiego, Ken Harveya, z Małgorzatą Neeson. W uroczystościach wzięli udział liczni koledzy pana młodego, którzy zgotowali nowożeńcom żywiołową owację, obsypując ich tradycyjnemi konfetti.

Fot. „New York Times".

Gdy lord- -poluje...

Na prawo: W Szkocji, ojczyźnie myśliwskiego sportu, sezon polowań na kuropatwy znajduje się w pełnym biegu. Właściciele olbrzymich latyfundjów oddają się im z zamiłowaniem i ubrani w swe narodowe stroje przemierzają z wiernym psem u nogi rozległe tereny myśliwskie.



Jednym z najbardziej zapalonych sportsmanów, a zarazem głośnych w Anglji myśliwych jest bezwątpienia książę of Montrose, którego widzimy na zamieszczonem obok zdjęciu w momencie, gdy na terenach swego zamku Isle of Arran podchodzi stado kuropatw.

Fot. „Sport General".

„Rose Marie" rozpoczęła swój triumfalny pochód po Polsce...



Jadwiga Hryniewiecka, wybitna tancerka, kreuje rolę Indjanki Dixiany.



Emma Szafrańska, świetna odtwórczyni roli „Carmen", śpiewa partję śpiewaczki-indjanki.



Kazimiera Skalska, znana artystka dramatyczna, odtwarza rolę Jany.



Witold Zdzitowiecki, reżyser operetki na scenie Teatru Wielkiego w Warszawie.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA „FOTO-AMERICA" — WARSZAWA.

NAJWSPANIALSZE DARY LATA



Brzoskwinia — owoc nieśmiertelności.

Od bardzo dawna, bo już od 2.000 lat przed Chrystusem brzoskwinia była znaną i bardzo rozpowszechnioną w Chinach, w swojej ojczyźnie. Owoc ten, tak tam ceniony i poważany od najdawniejszych czasów, stał się symbolem nieśmiertelności.

Chińczycy przypisywali brzoskwiniom duże własności.

Brzoskwinia „Yu" ma chronić — według nich — ciało od zepsucia i zachować je tak aż do końca świata. Cesarze chińscy tej miary co Tsinchi-Hoang, jak wierzą Chińczycy, żywili się brzoskwiniami, które zapewniły im nieśmiertelność. Chouy-ki podaje, że „ktokolwiek zje brzoskwinie z gór Kouoliou zapewni sobie wieczne życie". Z tych powodów Chińczycy umieszczali ją na malowidłach i rzeźbach swoich grobowców. Jako idea długiego życia jest wysyłana jako prezent z życzeniami.

Z Chin dostała się brzoskwinia do Japonji już dość wcześnie. Na zachód przez mur chiński przeszła późno, już w czasach, kiedy ludy mówiące sanskrytem dawno się po świecie rozeszły. To też nie spotykamy w sanskrycie żadnej wzmianki o niej. Również literatura hebrajska nie zna brzoskwiń.

Z Indji rozpowszechniła się w Armenji i Persji, gdzie poznali ją Grecy i dlatego nazwali „Persica vulgaris". Pierwszy z pisarzy greckich wspomina a niej Theofrast — (322 r. przed Chrystusem), jako o drzewie perskiem. Jednak za jego czasów nie była jeszcze w Grecji znana, dopiero wyprawy Aleksandra Wielkiego rozpowszechniły ją po całej Grecji.

Do Rzymu dostała się brzoskwinia w I w. po Chrystusie, według Pliniusza za Augusta. Znajdujemy ją w wykopaliskach Pompei.

Z osadnikami rzymskimi rozeszła się po całej Galji i Europie południowej i środkowej.

W siedemnastym wieku przewieziono brzoskwinie do Ameryki, gdzie dzięki doskonałym warunkom klimatycznym uprawa jej tak się udawała, że owocami karmiono nawet świnie.

Znamy pięć gatunków brzoskwini: 1) „Persica platycarpa", 2) „Persica Simoni", 3) „Persica Davidii", 4) „Persica vulgaris", 5) „Persica laevis".

Pierwsze trzy gatunki uprawiają tylko w Chinach. Od „Persica vulgaris" pochodzą wszystkie nasze gatunki o skórce pokrytej meszkiem. „Persica laevis" dała początek brzoskwiniom gładkim, znanym w Europie od wieków pod nazwą „Nucipersica".

Winorośl — krzak Bakchusa.

Żadna może z roślin uprawnych nie jest i nie była tak opiewana przez poetów i pisarzy, o żadnej może nie wspomina tyle legend i podań, co o winorośli. Ale też winorośl „Vitis vinifera" od najdawniejszych czasów była uprawiana. Historja jej uprawy jest prawie tak odwieczna, jak dawną jest historja kultury całej ludzkości. Pierwsze jej ślady znajdujemy w pokładach trzeciorzędnych a zupełnie dokładnie wiemy, że w epoce bronzowej była szeroko uprawiana w wykopaliskach budowli palowych pierwszych mieszkańców Szwajcarji i Prowancji znaleziono jej ślady.

Winna latorośl pochodzi z środkowego Kaukazu, ale już w czasach, kiedy ludzie jeszcze nie istnieli na kuli ziemskiej, rozsiana przez ptaki, rozpowszechniła się w Armenji, Azji Mniejszej i północnej Afryce.

Fermentacja winogron znaną była prawie tak samo dawno jak jej uprawa. Znajomość zasad fermentacji powstała spontanicznie, niezależnie u różnych ludów. Najprawdopodobniej w Azji, a Semici i Arjowie rozpowszechnili ją po świecie.

W Egipcie uprawa winnej łozy istniała 5 do 6 tysięcy lat temu, dowody na to znajdujemy w grobowcu Ftah Hotep. Jeśli chodzi o ziemię świętą i dowody ze Starego Testamentu to jest ich wiele. Abraham miał ją otrzymać od Melchizedecha. Historja zaś „ojca Noego“ jest tak powszechnie znana, że niema potrzeby przypominania jej.

Przez Fenicjan rozpowszechniła się winorośl po Grecji i Rzymie, a stamtąd po całym świecie.

W literaturze greckiej spotykamy opisy u Homera. Grecy jako naród o wybitnej fantazji otoczyli winorośl pięknemi mitami. Odnalezienie jej przypisywali Bakchusowi, który jako młody chłopiec w jednej ze swoich wędrówek znalazł drobną roślinkę, a nie chcąc aby mu uschła w drodze, wsadził ją do szkieletu ptaka. Ta jednak tak się szybko rozwijała, że niedługo przerosła szkielet i Bakchus szukając nowego pomieszczenia włożył ją do szkieletu lwa; gdy i ten szkielet okazał się za mały, winorośl dostała się do szkieletu oślego. Te trzy pomieszczenia winorośli, mają odpowiadać według starożytnych, trzem stanom upicia się: a więc najpierw człowiek śpiewa jak ptak, następnie ryczy jako lew, a w końcu...



Na prawo: Brzoskwinie rozpięte na murze.

W Rzymie, u Pliniusza i Katona, spotykamy opisy winorośli i przepisy jak należy się z nią obchodzić i jak ją leczyć.

„Winna macica ma bardzo delikatny węch a nieprzyjemny zapach niszczy ją w sposób zadziwiający. Gdy w bliskości chrzan się znajduje, odwraca się i unika nienawistnego sobie zapachu. Nienawidzi również jarzyn ogrodowych. Aby zapobiedz gniciu należy dotykać drzewa skórą zielonej jaszczurki“.

W Polsce rozpowszechniła się winorośl wraz z chrześcijaństwem. W XII w. według Ed Risi, geografa arabskiego, istniały liczne winnice.

Benedyktyni i Cystersi byli pionierami winnic przy klasztorach. W ślad za nimi, uprawa winogron, rozpoczęta w ogrodach zamków rycerskich, przeniknęła dalej, tak że w pewnym okresie była u nas nawet bardzo rozpowszechniona. Świadczą o tem takie nazwy miejscowości, jak Winiary pod Poznaniem, Winna Góra pod Miłosławiem, Winnica w powiecie warszawskim, Winniki pod Lwowem i wiele innych.

Jakkolwiek kraj nasz leży w znacznej części w strefie dojrzewania winorośli, hodowla jej na długi okres czasu została zaniechana i zapomniana zupełnie. Zaczęto traktować winny krzew wyłącznie jako roślinę południową, hodując tylko na ścianach i parkanach w wystawie słonecznej.

Wilgotny nasz klimat sprzyja rozwojowi grzybków pasorzytniczych i to jest największą przeszkodą w uprawie winnej łozy na otwartej przestrzeni. Są jednak okolice, na których już z powodzeniem uprawę tę się prowadzi i jest nadzieja, że przy zwiększonej propagandzie za spożywaniem owoców i ich hodowlą w własnym kraju, obszary te stale się będą powiększały.

Polecenia godne dla naszych warunków są odmiany francusko-amerykańskie „Hybrydy“. Wielkie zasługi nad stworzeniem tych odmian położyło wielu ogrodników francuskich, z których np. Seibel poświęcił 50 lat pracy selekcji i tworzeniu tych odmian. Krzyżówki te rywalizować mogą śmiało z najprzedniejszemi odmianami dawnej europejskiej odmiany, tak w spożyciu na surowo jak i w wyrobie wina.

Inż. H. Popławska.



Na lewo: Brzoskwinie „Amsden“, które u nas najwcześniej dojrzewają.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

PAPRYKA FASZEROWANA. 5 dkg ryżu udusić na sypko, dodać kawałek pieczonego lub duszonego mięsa, zmielonego na maszynce, sos z pod pieczeni i całe, dobrze roztrzepane jajko. Masą tą napełnia się 5—6 dużych sztuk papryki, którą należy przed napełnieniem obciąć, wydrążyć z ziarnek, wrzucić na gotującą wodę i pozostawić w niej tak długo aż się skórka wierzchnia da ściągnąć.

Odcedzone z wody papryki obciąga się ze skórki i napełnia poprzednio przygotowanym farszem, układa w rynce na maśle, zalewa rosołem, dodaje parę przetartych pomidorów i dusi pod przykryciem godzinę. Sos zaprusza się mąką, podgotowuje parę minut i wydaje się potrawę obłożoną ryżem.

BUDYŃ Z WŁOSKIEJ KAPUSTY. Włoską kapustę pokrajaną w części, sparzyć wrzącą wodą, odlać, ugotować w słonej wodzie, wycisnąć i zemleć w młynku od mięsa. Osobno uciera się 2 żółtka i 5 dkg masła, dodaje 10 dkg tłustych okrawków szynki drobno usiekanej, zmieloną kapustę, pół szklanki śmietany, pianę z 2 białek i 3—4 łyżek tartej bułki. Masę nakłada się do formy i gotuje się w parze godzinę. Podaje się z sosem śmietanowym i koprem.

DZIKA KACZKA powinna wisieć wypatroszona 8—10 dni w miejscu chłodnem, przewiewnem, aby skruszała, inaczej będzie twarda i łykowata. Po oskubaniu należy ją sparzyć wrzącym octem, obłożyć korzeniami, jałowcem i cebulą i pozostawić w bajcu przez dwa dni.

Wyjętą i opłukaną z bajcu kaczkę szpikuje się młodą słoniną bardzo gęsto, naciera solą i piecze przy częstem polewaniu masłem na rożnie lub zwyczajnie w rurze. Podaje się z kompotem brusznicowym lub mieszaną sałatą.

KUROPATWY można używać na świeżo bez bajcowania. Oczyszczone, wymywa się szybko (przez dłuższe leżenie w wodzie tracą smak), osusza serwetą, szpikuje gęsto słoniną lub obwija w plasterki słoniny, owiązuje w tym ostatnim wypadku nitką i dusi w rondlu pod przykryciem lub piecze na rożnie, duszone są jednak soczystsze.

Chcąc piec kuropatwy, nie należy ich trzymać na ogniu dłużej nad 30—40 minut, aby się zbytnio nie wysuszyły. Upieczone i potranżerowane smaruje się masłem deserowem i wstawia na moment do gorącego pieca, aby się masła rozpuściło. Podaje się obłożone krokietami z bułki. Sos, w którym się dusiły, podprawiony śmietaną, osobno w sosjerce.

KNEDELKI ŚLIWKOWE Z PARZONEGO CIASTA. — 1/4 l wody zagotować i zasypać 1/4 l mąki, ubijając, aby się grudki nie tworzyły. Do gorącego ciasta włożyć łyżeczkę masła i ubijać dalej, aż ciasto ostygnie; wtedy dodaje się 1. całe jaje i 1. żółtko; o ile ciasto za wolne, dosypuje się trochę mąki, wyrabia łyżką na gładkie ciasto, wykłada na stolnicę, kraje w kawałki i zawija w nie śliwki, do których w miejsce pestki wkładamy kawałeczek cukru. Knedelki te gotuje się tuż przed wydaniem na stół. Jak tylko spłyną, wyjmuje się je na smażoną bułeczkę, wymieszaną z cukrem, polewa gorącem masłem i posypuje bułeczką.

PLACEK Z MORELAMI Z GLAZURĄ. 12 dkg masła, 1. jaje i 1. żółtko, 12 dkg cukru, 20 dkg mąki, 2 łyżki śmietany i pół proszku do pieczywa zagniata się na tęgie ciasto, wykłada niem okrągłą formę, tworząc rant na brzegach i piecze do różowa. Wystudzony smaruje się cienko marmoladą malinową lub morelową i obkłada gęsto połówkami surowych moreli.

18 dkg kostkowego cukru gotuje się z wodą na gęsty syrop, dodaje 5 tafelek żelatyny rozpuszczonej w troszce gorącej wody, polewa łyżką owoce i zastudza w zimnie.

POMIDORY FASZEROWANE, WĄTRÓBKĄ. Uduszoną wątróbkę gęsią lub kawałek cielęcej, usiekać z dwoma twardemi jajami i kawałkiem w mleku rozmoczonej bułki. Kilka dużych pomidorów sparzyć wrzącą wodą, obciągnąć ze skórki, wydrążyć z pestek, napełnić masą przygotowana, ułożyć na szklanej płycie i polać majonezem. Ten ostatni uciera się z surowego żółtka, 4 łyżek oliwy, dodawanej kroplami wśród ucierania. Gotowy majonez rozprowadza się łyżką buljonu i soku cytrynowego, potem zaprawia solą i pieprzem oraz łyżeczką krymskiej jasnej musztardy. Majonez powinien być dobrze gęsty.

PLACEK KRUCHY Z POZIOMKAMI. 7 dkg masła, 10 dkg mąki, 3½ dkg cukru z waniliją, 1 żółtko surowe i jedno twarde oraz pół łyżeczki octu, zagnieść szybko na ciasto, wyłożyć niem tortownicę i upiec na jasno-złoty kolor. Tymczasem ubić pianę z 2—3 białek, dodać 2 łyżki mączki cukrowej i ubijać jeszcze chwilę. Upieczony placek pokryć poziomkami, wymięszanemi z cukrem, nałożyć pianką, posypać grubym cukrem kryształowym i wstawić na 5 minut do gorącego pieca.

Sc. Ko.

W KUCHNI WSZYSTKO SIĘ KRĘCI.



Nowości w zakresie przyrządów pomocniczych w kuchni są coraz doskonalsze. Maszynki do mielenia mięsa, nietylko je obecnie siekają na drobne cząsteczki, ale je ucierają na masę, jak n. p. do pasztetu.

Na zdjęciu jeden z najnowszych modeli maszynki do mięsa.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone

Święta rzym.-kat. i żyd.	Tydzień 35 — SIERPIEŃ — Dni 31
Niedziela **25** Ludwika Kr. 26 Ab	Chłodnik z malin z grzaneczkami. Papryka faszerowana z ryżem. Dzika kaczka z kompotem bruszwicowym i makaronem. Bomba z melona. <u>Kolacja</u>: Fałszywy łosoś z cielęciny w majonezie.
Poniedziałek **26** NPM. Częstoch. 27 Ab	Zamiast zupy, mieszana sałata jarzynowa. Makaron w sosie pomidorowym. Stek cielęcy z marchewką z groszkiem i ziemniaczkami. Placek z morelami. <u>Kolacja</u>: Budyń z włoskiej kapusty.
Wtorek **27** Przenies. św. Kaz. 28 Ab	Zupa Julienne. Sztuka mięsa z sosem ogórkowym. Rostbeuf z jarzynami. Naleśniki z se rem i śmietaną. <u>Kolacja</u>: Pomidory z wątróbką.
Środa **28** Augustyna 29 Ab	Owsianka przecierana z grzankami. Rizotto z gęsich podróbek. Pieczeń nerkowa z ziemniaczkami i ogórkiem. Kompot mieszany. <u>Kolacja</u>: Faszerowane jaja.
Czwartek **29** Ścięcie św. Jana 30 Ab	Zupa kalafiorowa z płatkami. Fasolka szparagowa z masłem. Kotlety wieprzowe z duszoną kapustą. Budyń owocowy. <u>Kolacja</u>: Bukiet jarzynowy, chleb z masłem.
Piątek **30** Róży z Limy. Elul	Zupa rybna z kluseczkami. Kotlety z włoskiej kapusty. Karp w galarecie z sałatą z ziemniaków. Knedelki śliwkowe z parzonego ciasta. <u>Kolacja</u>: Omlety z grzybkami.
Sobota **31** ...lmunda wyzn. Elul	Rosół z kaszką. Sztuka mięsa zapiekana w beszamelu z ziemniaczkami. Kurczęta smażone z sałatą z pomidorów i ogórków. Kompot z surowych owoców. <u>Kolacja</u>: Jaja na szynce.

HOCKI-KLOCKI

ROZTARGNIONY PROFESOR.



Wielki Boże! przecież to nie moje dziecko!..

ROZWIĄZANIA Z N-ru 25.

1. **WSPOMNIENIA WIELKIEJ WOJNY.**
Na wojnie zginął Lewandowski.

2. **DOWCIP PANA DOWCIPNISIA.**
Działo się to w środę. Pan Dowcipniś wymienił **przedwczoraj, wczoraj, dzisiaj, jutro, pojutrze, sobota, niedziela.**

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

2. RODZINNE POWIKŁANIA.

Panieńskie nazwisko mojej matki jest Hoffman, powiedział pewien młody człowiek, gdy się go pytano o nazwisko. Kuzyn mój nazywa się Zawadzki. Babka moja była z domu Skowronek, a brat jej teścia nazywał się Madaliński. Jak więc ja się nazywam?

3. BŁĄD W MNOŻENIU.

Mała Zosia miała w szkole na lekcji arytmetyki wykonać mnożenie pewnej liczby przez 409, lecz przy wykonywaniu tego działania zrobiła błąd bardzo często u dzieci spotykany: pierwszą cyfrę otrzymaną z mnożenia przez 4 napisała pod drugą cyfrą, licząc od prawej strony, zamiast pod trzecią. Zdarzało się to nam wszystkim, jako dzieciom, gdy mieliśmy mnożyć przez liczbę, której jedną z cyfr było 0. Rezultatem małego błędu było otrzymanie iloczynu, różniącego się od prawdziwego o istotnie wielką liczbę, bo aż o 328320. Jaka więc była mnożna — liczba, którą miała mała Zosia pomnożyć przez 409?

5. NAPRAWA ŁAŃCUCHA.

Kowalowi przyniesiono 9 kawałków starego łańcucha celem połączenia ich w jedną całość. Był tam 1 kawałek z 3 ogniw, 1 kawałek z 6 ogniw, 2 kawałki po 5 ogniw, 3 kawałki po 6 ogniw, 1 kawałek z 7 ogniw i 1 kawałek z 8 ogniw. Kowala kosztowało rozkucie jednego ogniwa 50 gr, a skucie 1 zł, zastanowił się więc, czyby mu się bardziej nie opłaciło danie klientowi ze swych zapasów nowego łańcucha, który go kosztuje 13 zł. Co powinien zrobić?

H U M O R   Z A G R A N I C Z N Y.

NA ABISYŃSKIM FRONCIE..



Oto jak wygląda parada niekończących się zastępów zeuropeizowanej armji abisyńskiej.
(Il Travaso della Idee)

Dokończenie ze str. 15-ej.

Najsławniejszym z wszystkich cudów hinduskich jest tajemnica drzewa mango. Publiczność widzi mały kwiatek, często tylko nasienie, które fakir zasadza do doniczki. I oto pod wpływem jego zaklęć kwiat rośnie i rośnie. Przed oczami publiczności powstaje długie, wyrośnięte drzewo z gałęziami, liśćmi i kwiatami. Cud! Prawdziwy cud!

Ale i to zjawisko da się wytłumaczyć w zupełnie „ludzki" sposób. Popisujący się używa poprostu doniczki, spreparowanej i posiadającej wewnątrz mechanizm, który wysuwa na zewnątrz odpowiednio przygotowany z tektury pień drzewa, co wywołuje złudzenie, jakoby drzewo rosło. Kwiaty i liście wychodzą z tego pnia przez wilgoć. Jest to rodzaj kwiatów japońskich, które mają tę właściwość, iż pod wpływem wilgoci szybko otwierają się i rosną do dziesięcio i dwudziestokrotnej wielkości naturalnej. Tak ma się rzecz z małym kwiatkiem, zasadzonym przez fakira i następnie „wyczarowanym" do olbrzymich rozmiarów.

Punktem szczytowym „nadprzyrodzonych" praktyk hinduskich jest grzebanie się żywcem. Popisują się tem fakirzy „prawdziwi", pragnący udowodnić, że nie mają nic wspólnego z teatrem. Takiego człowieka wkładają do grobu, zasypują go całą górą ziemi i po dłuższym czasie wykopują... żyjącego i zdrowego. Trick jest niesłychanie prosty. Pomocnik fakira kopie ten grób gdzieś na publicznym placu; zawsze jednak w pobliżu jakiegoś większego kamienia. Pod tym kamieniem schowa odpowiednio długą, wydrążoną wewnątrz laskę, doprowadzającą powietrze, którą fakir bierze do ust i w ten sposób oddycha. Cała atrakcja nie ma w sobie nic nadprzyrodzonego. Jedynie leżenie pod ziemią jest nieco niewygodne. Ale czegoż nie robi się dla pieniędzy!

Ich naśladowcy posługują się na scenie skrzynią drewnianą, napełnionej ziemią. By wykazać, że niema żadnego połączenia z zewnątrz, wyciąga się skrzynię na linach w powietrze. Tutaj znowu mamy do czynienia z podwójnem dnem, w które wpompowuje się dosyć skoncentrowanego powietrza, by umożliwić fakirowi oddychanie przez kilka nawet godzin.

Wszyscy widzieliśmy w cyrkach i kabaretach Hindusów, albo ich naśladowców, którzy pozwalają do siebie strzelać i łapią kule w powietrzu. Podłożem tego „cudu" jest pistolet odpowiednio spreparowany. Za pierwszym razem — dając próbny strzał — fakir celuje do szyby szklanej, która rozpryskuje się w drobne kawałki. Następnie nabija po raz drugi pistolet, odaje go w ręce asystenta i sam ustawia się jako cel. Pomocnik strzela i w oczach wszystkich fakir łapie kulę, którą poprzednio ktoś z publiczności oglądnął i zaznaczył. Tajemnica polega na tem, że w czasie nabijania pistoletu, zapomocą mechanizmu, kula dostaje się do kolby, a stamtąd do ręki fakira. W lufie pozostaje jedynie sama kapsla. Cały występ jest właściwie zabawką, a wymaga jedynie odpowiedniego zgrania fakira i jego pomocników.

Innym znowu bluffem jest odcinanie palców przez widzów, którym fakir wręcza scyzoryk. Istotnie krew leje się strumieniami, a po chwili fakir ściera krew z palca i okazuje się, że palec jest cały i nie widać najmniejszego zranienia. Do przeprowadzenia tej sztuki służy pierścień, mający ukrytą szpilkę. W czasie, kiedy rzekomo obcinają palec fakirowi, wkłuwa sobie szpilkę i wywołuje wrażenie, jakoby istotnie krew płynęła z obcinanego palca.

Jeżeli do tej listy cudów dodamy przyszywanie guzików do ciała, polegające podobnie jak przebijanie języka gwoździem na tem, iż skóra fakira jest już poprzednio przebita — to mamy mniej więcej zestawienie najbardziej popularnych i znanych numerów popisowych tych „cudotwórców" XX wieku.

Widzimy, że są to wszystko tricki, wykonywane przez bardzo zręcznych, wyćwiczonych artystów kabaretowych i cyrkowych, nie mające po bliższem poznaniu nic cudownego, ani nadprzyrodzonego w sobie. Ale nie łatwo jest nauczyć się tych wszystkich sztuczek i doprowadzić je do tego stopnia doskonałości, by olśniewać niemi zdumioną publiczność. Zarabianie na chleb codzienny zapomocą „cudów" i magji nie jest żadną zabawą, ale niezwykle żmudną pracą.

To warto poznać..

NOWE KSIĄŻKI.

Głośna powieść niemieckiego autora **Hansa Fallady** p. t.: **„I cóż dalej, szary człowieku“** pojawiła się w polskim przekładzie Melanji Wasserman (Wydawnictwo Fruchtmanna, Warszawa. 1935). Książka ta przedstawia w dosyć smutnych i szarych barwach życie przeciętngeo mieszkańca Berlina, w okresie kryzysu i bezrobocia. Zręcznie napisana historja potrąca od czasu do czasu o struny dosyć popularnego sentymentalizmu i temu prawdopodobnie należy przypisać jej wielki sukces.

Amerykański autor **George Owen Baxter** prowadzi nas w swojem opowiadaniu **„Tajemniczy szept“** (przełożyła Alicja Krzymowska — Towarzystwo Wydawnicze „Rój“) na szerokie rozłogi prerji amerykańskiej. Jest to typowa awantura filmowa, gdzie roi się od cowbojów i razporaz rozlegają się strzały rewolwerowe. Sensacja dosyć umiejętnie dawkowana, a czytelnicy tej sensacyjnej historji napewno się znajdą.

Jeden z wybitniejszych autorów sowieckich **Włodzimierz Lidin** zyskał sobie znaczną poczytność we własnej ojczyźnie książką p. t. **„Grób Nieznanego Żołnierza“**. — Książka ta przełożona na język polski (nakład Tow. Wyd. „Rój“) pokazuje nam rozpaczliwą dolę rosyjskiego emigranta, który zabłąkał się do armji francuskiej i zyskał potem miano Nieznanego Żołnierza. Karty tego opowiadania zabarwione są złośliwą ironją, starającą się przedstawić świat francuski w najczarniejszych barwach. Oczywiście i tutaj działać musiała sowiecka chęć propagandy! Niewiadomo, czy powieść ta mogłaby się pojawić w ostatnich miesiącach, kiedy Rosja Sowiecka dążyła do porozumienia z Francją...

Popularny gawędziarz **W. J. Locke** opowiada **„Ród Baltazarów“** dosyć naciągniętą historję o sławnym uczonym Baltazarze, mocno podszytym warjacie oraz jego synie. już bardziej normalnym. Opowiadanie to przechodzi dosyć fantastyczne perypetje, ale okrasza je i ratuje dobroduszny humor angielski, którym Locke szczęśliwie operuje.

Niemiecki pisarz **Traven**, którego książki zostały spalone na stosie w Niemczech, prowadzi nas znowu w swej książce p. t. **„W jarzmie“** na egzotyczne tereny Południowej Ameryki. Dwutomowe to opowiadanie (nakład: Polskie Tow. Przyjaciół Książki) pisane jest żywo i — jak zwykle — z doskonałem opanowaniem rzemiosła pisarskiego. Czytelnicy, którzy lubią rodzaj egzotycznych lektur, napewne chwalić sobie będą tę nową książkę Travena.

Głośny autor **Michał Arlen**, którego książka p. t. **„Zielony kapelusz“** została sfilmowana i dała pole do popisu Grecie Garbo, przedstawia nam w powieści **„Lilla Krystyna“** (Gebethner i Wolff) dramatyczne dzieje małżeństwa kobiety, która nadmiernie kochało swego małowartościowego męża. Rzecz ta napisana została z dużym umiarem i kulturą i napewno zyska sobie szerokie koło czytelników.

Norweski autor **Johan Bojer** pojtwił się w nowym polskim przekładzie. Jego powieść p. t. **„Nowa ojczyzna“** wprowadza nas w środowisko norweskich emigrantów, którzy szukają lepszej doli w Ameryce. Jest to studjum interesujące, napisane z pasją prawdy i realizmu. Do dotychczasowej twórczości Johana Bojera nie wnosi ono jednak specjalnych walorów czy atutów. **(g)**

NA SCENIE.

W teatrach **warszawskich** mamy obecnie dwie premjery. **Teatr Narodowy** wystawił słynną komedję Scribe'a **„Walka kobiet“**. Komedję wyreżyserował Chaberski, a główną rolę gra Mieczysława Ćwiklińska. Ponadto w innych rolach występują Barszczewska, Brydziński, Wesołowski i Łuszczewski, co daje gwarancję wysokiego poziomu artystycznego przedstawienia.

Teatr Polski wystawia nową zabawną komedję pisarza węgierskiego Bus Feketego p. t. **„Urodziny“**. Bohatera sztuki gra Józef Węgrzyn. Partnerkami jego są Dulęba, Lubieńska i inni.

Stefan Jaracz, który objął spowrotem **Teatr Ateneum**, zapowiada na pierwszą połowę września premjerę doskonałej komedji Korzeniowskiego **„Majster i czeladnik“**. Będzie w niej grał rolę majstra. Reżyseruje niezawodna Perzanowska.

Obecnie Jaracz bawi na gościnnych występach **w Poznaniu**, gdzie w Teatrze Polskim zapoznaje publiczność ze swą niesamowitą kreacją **w Krzyku“** włoskich autorów Stefani i Ferriuccio Cerio. Współgrają z gościem czołowe siły teatru poznańskiego z Ludwiżanką, Zasadzianką, Hańczą, Kierczyńskim na czele.

W **Bydgoszczy** gra teatr **„Mecz małżeński“**, wyreżyserowany dobrze przez dyr. Stomę, oraz błahą, ale wcale zabawną farsę Arnolda i Bacha p. t. **„Hurra, jest chłopczyk“**. Wszystkie kółka i kółeczka, pobudzające publiczność do wesołości, puścił sprawnie w ruch reż. Stan. Dąbrowski. (swb.)



Niedziela, 25 sierpnia.

9.50: Pogadanka sportowo-turystyczna.
10.00: Transmisja Nabożeństwa.
12.20: Poranek muzyczny.
14.00: Muzyka salonowa.
15.00: „Nasza hodowla koni“ — pogadanka.
16.00: Utwory na theoli.
16.45: Szkic literacki.
17.00: Koncert.
19.10: Koncert.
19.50: „Życie angielskie bez różowych okularów“.
21.00: „Tańce 18 i 19 wieku“.
21.30: „Na wesołej lwowskiej fali“ (ze Lwowa).
22.00: Wiadomości sportowe.
22.20: „Nasza marynarka gra“.
23.05: Muzyka taneczna.

Poniedziałek, 26 sierpnia.

12.15: Koncert Małej Orkiestry P. R.
13.00: Chwilka dla kobiet.
13.05: Muzyka wokalna.
16.00: Audycja dla dzieci.
16.15: Koncert solistów.
17.00: Recital fortepianowy.
18.00: „Odczyt z cyklu“ Ze świata wielkich i drobnych wynalazków.
18.45: Muzyka.
19.30: Audycja literacka.
20.10: Lekkie piosenki.
21.00: Koncert symfoniczny.
22.00: Wiadomości sportowe.
22.10: Mała Orkiestra P. R.

Wtorek, 27 sierpnia.

12.15: Muzyka salonowa.
13.00: Chwilka dla kobiet.
13.05: Koncert.
16.15: Mussorgski-Ravel: Obrazki z Wystawy.
17.00: Koncert w wyk. wileńskiej Ork. kameralnej.
18.40: „Życie artystyczne i kulturalne stolicy“.
19.50: Pogadanka aktualna.
20.10: Kapela Kujawska.
21.00: Muzyka lekka — piosenki kabaretowe.
22.30: Wiadomości sportowe.
22.40: Mała Orkiestra P. R.

Środa, 28 sierpnia.

12.15: „Dla naszych letnisk i uzdrowisk“ — koncert.
13.00: Chwilka dla kobiet.
13.05: Muzyka wokalna.
16.15: Muzyka taneczna.
17.00: Koncert kameralny.
17.25: Recital skrzypcowy.
18.00: Wesoły skecz.
18.15: Ulubione melodje z filmów dźwiękowych.
19.30: Piosenki w wykonaniu Tadeusza Faliszewskiego.
19.50: Reportaż z cyklu „Samoloty i ludzie“.
20.10: Muzyka lekka.
21.00: Koncert Chopinowski.
21.30: Przegląd humoru zagranicznego.
21.40: Pieśni polskie.
22.00: Wiadomości sportowe.
22.10: Mała Orkiestra P. R.

Czwartek, 29 sierpnia.

12.15: Muzyka symfoniczna.
13.00: Chwilka dla kobiet.
13.05: Utwory fortepianowe.
16.15: Pieśni ludowe.
16.30: Sonata e-moll J. Brahmsa.
18.00: „Książka i wiedza“.
18.30: „Dokąd jechać w święto“.
18.45: Muzyka lekka.
19.30: Fantazje operetkowe.
19.50: Pogadanka aktualna.
20.10: Koncert w wykonaniu Małej Orkiestry.
21.00: Koncert skrzypcowy.
21.30: Teatr Wyobraźni nadaje operetkę Genego p. t. „Wróg muzyki“.
22.00: Wiadomości sportowe.
22.10: Mała Orkiestra P. R.

Piątek, 30 sierpnia.

12.15: Koncert w wyk. ork. wojskowej.
13.00: Chwilka dla kobiet.
13.05: Muzyka niemiecka.
15.30: Muzyka salonowa.
16.15: Piosenki włosko-hiszpańskie.
17.00: Recital skrzypcowy.
17.30: Pół godziny walców.
18.15: „Cała Polska śpiewa“.
18.45: Koncert wieczorny.
19.30: Trio fortepianowe.
19.50: Aktualny monolog.
20.10: Lekkie utwory fortepianowe.
20.35: Stefan Witas śpiewa piosenki.
21.00: Koncert symfoniczny muzyki rosyjskiej.
22.00: Wiadomości sportowe.
22.10: Mała Orkiestra P. R.

Sobota, 31 sierpnia.

12.15: Koncert.
13.00: Chwilka dla kobiet.
13.05: Fantazje operowe.
14.30: Nowości z płyt.
15.30: Słuchowisko dla dzieci.
16.15: Pieśni.
17.00: „Dla naszych letnisk i uzdrowisk“ — Koncert.
18.00: Poradnik sportowy.
18.30: Przegląd wydawnictw.
18.40: „Życie kulturalne i artystyczne stolicy.
18.45: Muzyka lekka.
19.30: „Nasze pieśni“.
20.10: Koncert.
21.30: „Świat duchów w przyrodzie“ — Koncert.
22.00: Wiadomości sportowe.
22.10: „Frontem do wsi“. Lekka audycja literacko-muzyczna.
22.30: Koncert.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A.